



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80;
miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową złr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

NA WERANDZIE.

(Pogawędka).



W jednym z ostatnich numerów swoich „Mu-
cha” wystosowała do mnie list otwarty w imie-
niu „Słownika języka polskiego,” wydanego
w Wilnie r. 1861-go, prosząc, ażeby z *we-
rendy* na *werandę* się przeniósł.

Chętnie czynię zadość żądaniu temu, tem
chętniej, że o ile tylko mogę, staram się na-
łogi złe i przywyknienia wykorzeniać, albo-
wiem niewolnictwo wszelkie, pod jakąkolwiek
bądź byłoby ono formą, pobłażania nie znaj-
duje u mnie.

Ileż to tych złych nałogów i przywyknień,
prawdziwem utrapieniem w życiu ludzkim
się staje!... Palacze niepoprawni, amatorowie
gorzałki nie jedno o tem powiedziećby mogli.
Od dzieciństwa przyzwyczajając się potrzeba do
walki z tem wszystkim, co z czasem obez-
władnić nas może i w jeństwo oddać różnym
przyzwyczajeniom i namiętnostkom.

To czuwanie nad samym sobą i walka z sa-
mym sobą, wytwarzają siłę i w następstwie
usuwa ją ze słownika życia wszystko psujący
wyraz: nie mogę! Dawniej młodość zapalna
mierzyła *siły na zamiary*, pokolenie następne
wydrwiło ten okrzyk, nie widząc w nim mą-
drości, nie przeczuwając rzeczywistej potęgi.
Jeśli zamiarem twym jest o sto mil skoczyć,

mogą siły ci nie dopisać, lecz skok ogromny
uczynisz; a jeśli zamiary swoje wedle sił mie-
rzyć będziesz, przyjdzie wahanie, niepewność,
krytyka; moc, jaką masz nawet — zmaleje...
i uczynisz krok ślimaczy.

Czemże było przejście wawozu Somosierry,
jeżeli nie dopasowaniem sił do zamiarów?...
Chwila rozważy, że zamiar jest za wielki —
a nie mielibyśmy jednej z najpiękniejszych
kart w naszej historyi i zdobywca świata mu-
siałby zwinąć obozy swoje. Nie! nie pomy-
lił się mistrz taki, jakim był Mickiewicz —
i cały rozwój świata nie do jego sił się sto-
suje, lecz do postawionych wprzód zamiarów.

Rzućmy choćby okiem na ową walkę, wy-
powiedzianą nam przez potężne cesarstwo Nie-
mieckie. Stają przeciw sobie dwa zamiary,
w jak nierówne, w jak straszliwie nierówne
uzbrojone środki. Przemierzmy siły — a uczu-
jemy dreszcz lęku; przystosujmy do nich nasz
zamiar — a może bezwładnie ręce opadną.

Więc?...

Wstrząsamy z sił wszystkich.

Zamiar *musi* być dokonany — on *wytworzy*
siłę; jeno precz z rozsądkiem małomieszczań-
skim, krepującym potęgę zapалу!...

„Mucho!” przesiadłem się na twoją *werandę*
i płomień mnie ogarnął nieśmiertelnej „Ody
do Młodości.”

Kocham tak język ojczysty i tak dbam
o czystość jego, że uwagę każdą z chęcią
przyjmuję, nie czując się nią dotknięty wca-
le. Wprawdzie że nie niema z językiem pol-
skim wspólnego *werenda* czy *weranda*, jako

wyraz obcy, który jeno u nas prawo obywa-
telstwa uzyskał.

Pomimo zdania „Słownika Wileńskiego,”
pisownia wyrazu tego niezupełnie jest jeszcze
ustalona, a to zależy od wzoru, do którego
zastosować się chcemy, biorąc go z języka
francuzkiego czy włoskiego: *verende* albo *ve-
randa*. Niedawno nawet w materyi onej ga-
wędziłem z gramatykami — i zdania były po-
dzielone. Jednak, że *weranda* jest niezaprze-
czenie wyrazem włoskim, nie widzę słuszo-
ści pomijania macierzy, i ono dobro brać
z drugiej ręki. Usuwam tedy nawyk i prze-
noszę się na — *werandę*.

Ale „Mucho” szanowna! jeżeli już zechcia-
łaś mnie zaszczyścić swoim listem otwartym,
który, jak widzisz, z dobrym odczytałem skut-
kiem, — zechciej w łaskawej pamięci tych za-
chować, którzy rzeczywiście psują język oj-
czysty, wprowadzając zwroty, obce duchowi
jego, naleciałości zbyt liczne, wyrazy cudzo-
ziemskie, a tak dobrze przez swojskie zastą-
pione być mogące.

Od pewnego czasu pojawił się w piśmien-
nictwie naszym potworek nowy, który coraz
bardziej się rozwiela, tak, że holdować
mu zaczynają dużej miary nawet pisarze. Jest
nim: niewłaściwe postawienie zaimka *który*.
Oto przykłady: „Był to człowiek, *dobroć któ-
rego* znana jest powszechnie;” „widziałem kwia-
ty, *zapachy których* zmysły odurzały” i t. d.
W zdaniu pierwszym popełniono nawet dwa
błędy: *dobroć którego*, zamiast *którego dobroć*,
i — *znana* zamiast *znana*. Tak samo w zda-

niu drugim, powinno być: *których zapachy*, nie—*zapachy których*. Błąd ten coraz bardziej się u nas rozprzestrzenia, staje się złem przyzwyczajeniem, a doprowadzić może do ohydneho skażenia językowego, bo źródło, z którego zaczerpnięty został, jest obfite, i na codzienny użytek nam dane.

Zasiadając do pogawędki dzisiejszej, muszę się wytłómaczyć przed czytelnikami z trochę przydługiego mojego milczenia.

Wczasy letnie...

— Aha!...

— Zwolna, kochany przyjacielu! nie myśl, że wczasy letnie rozleniwiająco wpłynęły na mnie, choć—Bogiem a prawdą—radbym był oddać się słodkiemu *far niente* i, otoczony ciszą lasów, cienistymi jarami prześlicznego Kazimierza, wodze bujnej fantazyi popuścić i rękę przyłożyć do strun dawno zapomnianej lutni. Ale marzyć, tak, jak się chce — nie wolno!... Wczasy letnie, o tyle są dla mnie wczasami, że nie wśród ciasnych murów kamienic warszawskich, jeno w otoczeniu zieleni, oddychając najprzepyszniejszym w świecie powietrzem, człek pracuje. A jeżeli sfolgował nieco sobie, to nie przez lenistwo, jeno z konieczności, bo skaprysiło trochę moje zdrowie żelazne, tak, że jadąc do Kazimierza, zatrzymać się musiałem w Nowo-Aleksandryi i reparacją samego siebie się zająć. I oto cała przyczyna rzekomego rozleniwienia się mojego.

Ledwie stanął w Kazimierzu, zasypany zostałem listami i depeszami. „Gazeta Polska“ o „Babin“ się dopomina, parę pism innych o dotrzymanie danych przyrzeczeń, jeden „Bluszcz“ tylko zbroją cierpliwości się okrył, niech mu za to setka prenumeratorów przybędzie!...

Ale z listów wszystkich był jeden list lwowski, który powiał ku mnie mgłą smutku, któremu słów parę odpowiedzi się należy. Skarży się dusza niewieścia na ciężar życia i dziękuje mi, że w pracach moich otuchę i ukojenie znalazła. Nie pierwszy to list, podobną podzięką brzmiały, choć w każdym z nich jest może więcej dobrej woli piszących, niż moich zasług.

A jeśli to ostatnie?

Powtarzam tedy raz jeszcze: życia nie zmarnowałem. Lecz cóżem mówił zawsze?... Z uśmiechem znoś ból, wierz, że droga krzyżowa kończy się zwycięstwem nieśmiertelnej twej duszy!...

Nie tak daleko oddaliłem się od Warszawy, a zda mi się, że morzami i górami oddalony od niej jestem. Nie myślcie jeno, że te słowa wypowiedziałem z powodu tęsknoty po niej... O nie!... Tej ciszy pożądanej, tego powietrza wonnego, tej samotności, gdy chcę być samotnym — Warszawa mi nie da.., Ale, żądano ode mnie, bym, kronikę pisząc, nie zapomniiał o życiu warszawskim, bym, o ile można, wypadki dnia chwytał i nie mi dzielił się z wami, łaskawe czytelniczki moje.

Trudno to jednak robić, biorąc wszystko z drugiej ręki.

Pism dostarcza mi poczta miejscowa codziennie, czytam je od deski do deski, i widzę, że czasy ogórkowe na dobre się rozpoczęły, że wiadomości wszelkie są tego rodza-

ju, iż potrzeba chyba nie mieć własnej fantazyi, ażeby mózgi z nich korzystać. Nawet lotny umysł *Kaprysa*, budzący zazdrość w każdym kronikarzu z urzędu, częściej od pewnego czasu w polityce przesiaduje, z niej asumpt biorąc do pogawędek swoich, niż nurza się w pustej studni wypadków codziennych. W tych czasach ogórkowych więcej nożyce, niż mózgi pracują — ale Kaiser Wilhelm przychodzi wciąż w pomoc kronikarzom zrozpaczonemu i materyału im poddaje.

Doprawdy! to, co się dzieje w państwie bojaźni Boga, wydaje się fantasmagorią jakąś, snem, nie mającym żadnego logicznego podkładu. Pomijamy mowę malborską i akwizgrańską; pomijamy wbrew prawom konstytucyjnym, zakaz odbycia się wiecu w Poznaniu; ale wzbronienie przedstawień „Manru“ Paderewskiego, równa się złości rozkapryszonego dzieciaka, który, nabiwszy sobie guza o stołek, mści się pięścią na sprzecie niewinnym.

Bo czemuż przewinił Ignacy Paderewski?

Oto nabył akcyje Poznańskiego Banku Ziemskiego za sumę 50,000 marek. Ale jest-że ten Bank zakazaną jakąś instytucją?... czy na nim nie spoczywa urzędowa pieczęć rządu pruskiego? czyż jest wzbronione lokowanie na nim czyichkolwiek bądź kapitałów?... Nie! — bo w razie podobnym Bank przestaje być Bankiem.

Zkądże ta zemsta?

O, logiko głów pruskich, o zdrowy rozsądku narodu filozofów — zawstydzcie się!...

Bank ziemski poznański, za zadanie wziął sobie kupowanie ziemi od polskich właścicieli podupadłych i rozparcelowywanie nabytych obszarów pomiędzy włościan. Dywidenda od sum włożonych daje 4%, a że lokacja jest pewna, wkładników znajduje. Oczywiście, im wkładów jest więcej, tem pożyteczniejsza działalność stowarzyszonych, tem polskość w Poznańskim na trwalszym się opiera gruncie. Ale postępek Paderewskiego może znaleźć naśladowców, w ten sposób z kroci tysięcy miliony wytworzyć się mogą i panowie hakatysci znów szaty żałobne na siebie wzmą. Nie wbrew prawu, lecz wbrew uczuciom hakatystowskiemu znakomity nasz muzyk i kompozytor postąpił — a to grzech, nie wiem już w wielu przykazaniach pruskich.

Za drażniące to wiadomości na... wczasy letnie, podczas których chciałoby się z duszy i serca precz odrzucić to wszystko, co boli, i jeno na łonie dobroczynnej matki-natury odpocząć, odetchnąć i wzmódz się!... Niech życie choć przez chwilę popłynie po za granicami twojego wzroku i słuchu; otocz się wonią kwiatów, szelestem drzew, i gwiazdami, i błękitem. Ale trudno! tysiąc węzłów z tem życiem łączy ciebie, oderwać się od niego nie sposób pomimo życzeń i pragnień!...

Ot, stoisz na wzgórzach Kazimierzowych, pod urokiem pamiątek do nich przykutych. Za tobą baszta potężna, strażnica dawna, dźwigająca na barkach swoich pięć wieków... Niżej leżą ruiny zamczyska, milczące a wymowne, samotne a przepełnione rojowiskiem wspomnień. Uderza dzwon... to klasztor na nieszpór modlić się zaczyna. I przed wiekami dzwonił on tak samo!...

Te mury, ten jęk dzwonu, w świat inny, w świat daleki unoszą ciebie. Nie dzisiejszem życiem żyjesz, nie dzisiejszemi myślami myślisz, nawet czujesz sercem nie dzisiejszem... Dobrze ci z tym snem przeszłości... Jesteś sam — z nią tylko — i z nimi!...

A u stóp twych Wisła płynie, płowemi falami gra, wielka, potężna rzeka!...

Jak ona rozlała szeroko!... Wczora dotknęła brzegów, dziś wystąpiła nad brzegi...

Powódź!...

Ha!...

Na dźwięk tego wyrazu sen prysnął.

Zalane łąki, pola, wsie... kłęska, kłęska i kłęska!...

Ale prawdziwie Hiobowe wieści dochodzą z Galicyi i Szlązka. Oto, co czytamy w jednej z korespondencyi przysłanych do „Gazety Polskiej“:

„Niebywała kłęska nawiedziła różne okolice Szlązka Górnego i Szlązka austriackiego. Wsie i okolice, położone nad Odrą od Raciborza do Opola, ponoszą niepowetowane straty. Powódź bowiem przybrała nadspodziewane rozmiary; od r. 1880-go nie było podobnego wylewu.

W Raciborskiem przedstawia się cała dolina odrzańska, jak jedno wielkie jezioro, które zalało najpiękniejsze urodzaje. Mieszkańcy nie byli wcale przygotowani na niespodziewanie szybki wzrost rzeki, a ponieważ wylew Odry zaskoczył ich w nocy, przeto tem dotkliwsze straty ponieśli. W Opolu, położonem poniżej Raciborza, można było obserwować następstwa nagłej kłęski, gdyż na rzece, szybkim prądem płynącej, widać było odpływające stosy siana, stoły i sprzęty domowe, nawet inwentarz i drób zatopiony.

Zwierzyna, piękna i obfita, szczególnie w Raciborskiem, została w bardzo wielkiej części zniszczona. Sarny i zające uciekały do zabudowań gospodarskich, szukając tam schronienia i pozbywając się zupełnie obawy przed człowiekiem. W drodze z Narkowic do Raciborza utopił się rolnik, Fr. Rutek, który nie mogąc wyjechać z wody, chciał konie wyprządz i został obalony przez prąd.

W okolicy Koźła komunikacja pomiędzy poszczególnymi wsiami zupełnie przerwana. Wiele budynków uległo ruinie; byłoby musiało ratować na łodziach. Jeden człowiek stracił życie. W Opolu na przedmieściu Odrzańskim, jeżdżąc od wczoraj (d. 23-go z. m.) po ulicach, niżej położonych łódkami, gdyż nie można się do domów dostać. Fabryka dachówek cementowych p. Paszkowskiego stoi cała pod wodą; woda zabrała kilkadziesiąt wozów nagromadzonego piasku i wyrządziła wiele innych szkód.

Prawdziwa rozpacz ogarnęła wczoraj ludność z powodu przerwania się po lewej stronie Odry tamy, czyli wału, wstrzymującego rzekę od wystąpienia z koryta. W skutek tej katastrofy, która do tego w dwóch miejscach nastąpiła, woda płynie do dziś niepowstrzymanym pędem na pola. Straż ogniową i wojsko sprowadzono zawczasu, aby nieszczęściu zapobiedz, lecz siła ludzka musiała ustąpić przed potęgą żywiołu. Kilkaset mórg roli, na której wznosiły się najpiękniejsze w tym roku urodzaje, szczególnie bujne i wysokie ży-

to, zostało zalanych, ani kłoska zboża już nie widać.

Takież katastrofy nawiedziły inne okolice Górnego Szlązka. W okolicy Pszczyny nad brzegami Wisły zapanowała w jednej chwili nędra i niedola. Wsie Czarnochowice, Zabrzeg i Jedlin stoją zupełnie pod wodą; bydło wyprowadzono do innych wsi, ale niema mu co dać jeść, gdyż mieszkańcy zaledwie z życiem uszli.

W Pszczyńskim przerwała się także w okolicy Gorzałkowic tama w kilku miejscach, więc i tu setki mórg pola zostały zalane. Choć rzeki opadną, to woda, która w taki sposób na pola się dostała, nie tak prędko ustąpi.

Wogóle Wisła zalała wszystkie po lewym brzegu położone wioski na Szlązku Górnym. Rozumie się, że i na Szlązku austriackim tak Wisła, jak Odra z pobocznymi rzekami wyrządziły bardzo wielkie szkody; nawet kilka kopalń zawiesiło pracę.

W powiecie Rybnickim wezbrała i wystąpiła z brzegów rzeczka Ruda, zalewając ogrody warzywne, pola i łąki. Przytem wydarzyło się we wsi Rudach wielkie nieszczęście: gdy woda wezbrała, kazano straży ogniowej otworzyć śluzę na rzece, aby woda mogła szybciej odpłynąć. Niestety, przy tej robocie postradało dwóch strażaków życie, a trzech poniosło ciężkie rany.

Także w obwodzie przemysłowym Górnego Szlązka powstało wiele szkód w skutek wylewu t. zw. „bytomskiej wody.”

Do tego niepogoda trwa dalej, nieustannie pada deszcz; niebo na całym widnokręgu zachmurzone.

Pytam: możnaż tak, jakby się chciało, używać wczasów letnich?

Mam jednak wśród letników jednego znajomego, który z całym zrozumieniem rzeczy oddaje się odpoczynkowi letniemu. Przez willegiatury zrywa zupełnie z wszelkimi wiadomościami ze świata, od gazet umyka, jak od morowej zarazy, na jedną tylko książkę się godzi, i to pod warunkiem, by treść jej wesółą była.

— Wiesz — rzekłem raz do niego, — że może koronacyi swojej król Edward nie doczeka. Operacya się udała, ale...

— Daj-że ty mi pokój z koronacją i operacją twoją!... — krzyknął, jakby go zły szerszeń ukąsił. — Przecie wiem, że jednego wątroba boli, a drugiemu gdzieś ząb wyrwać muszą... lecz po co o tem mi mówić i zatruwać spokój, na którego poszukiwanie wyjechałem o trzydzieści mil od Warszawy. Wczoraj mi doniesiono, że jakiś pan pamiątkowy majątek na jedną kartę postawił — i przegrał; zawczoraj łaskawie zawiadomiono, że sześcioro dzieci utopiło się w gliniankach pod Warszawą, dziś zaś ty z operacją wyjeżdżasz?... Przecież ten pan zbrodnię popełnił — i krew wzburzył; przecie dzieci, jak szczenięta topiące się, nie dadzą mi wcale apetytu przy dzisiejszym podwieczorku; nie lepsza i twoja operacya, o której byś nic nie wiedział, gdybyś raz na zawsze, podczas sezonu letniego, z wiadomościami gazetarskimi zerwał... Czy fortunę odkupisz? czy dzieci wskrzesisz? czy koronację do skutku doprowadzisz?... Dlaczego wyjechałem? Dlatego, że chcę spoczynku, spoczynku, i raz jeszcze spoczynku du-

chowego i cielesnego... Czy to tak wiele, nie irtować się przez dwa miesiące?... Jeżeli Boga masz w sercu — nie pokazuj mi nawet tytułu gazet... Dość czasu będzie na utrapienia różne — teraz o niczem wiedzieć nie chcę...

I je dobrze — i spi dobrze — i... nawet tyć zaczął.

Kazimierz Gliński.

Julia Terpiłowska.

PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

W czasie katastrof, spadających na rodzinę Wieloleńskich, Klara odwiedzała codziennie Mewę, ale nadaremnie usiłowała pokrzepić ją na duchu. Mewa była niezmiernie zgnębiona majątkową ruiną. To też Klara zdziwiła się bardzo, kiedy pewnego dnia, właśnie po zawarciu układu Wieloleńskiego z Grüberem, zastała ją w daleko lepszym usposobieniu. Mewa opowiedziała jej treść interesu prawie wesoło, dodając, że pociesza ją bardzo to, iż ojciec jej, po sprzedaniu owych gruntów, będzie miał zapewnione na resztę życia jakie takie kawalerskie utrzymanie. O przyszłość młodszego rodzeństwa była też spokojniejszą, bo pani Rejska za swoje oszczędności nabywa Dziecin, leżący właśnie na tych gruntach Wieloleńskiego, i osiada tam z Janiem i Nilą, których ojciec na stałe powierza jej opiece; na koszt zaś ich wychowania pozostają im po matce sumki równe tej, którą Mewa na wyprawę swoją straciła.

— Dzięki Bogu za tę trochę ulgi — rzekła Klara. — Ale ty, najdroższa, co myślisz robić z sobą?

— Ja mam obecnie dwie drogi do wyboru — odpowiedziała Mewa. — Oto pierwsza: list ze wspaniałomyślną propozycją.

Przeczytała jej list od pani Wszelaczyńskiej, która wśród okrągłych kondolencyjnych frazesów umieszczała zdanie, że klęski spowodowane własną winą, są najkorzystniejszą nauką postępowania — i kończyła ofiarowaniem Mewie przytułku w swoim domu, w razie, jeżeli zechce przyjąć u niej miejsce panny do towarzystwa.

Klara rozplakała się. — Mewa pocieszała ją zapewnieniem, że ma sposób uchronienia się od takiej ostateczności — ową drugą drogę, o której wspomniała.

— Nie opowiem ci jeszcze tego w tej chwili — mówiła z westchnieniem, — bo potrzebuje sama oswoić się z tą myślą... Będzie to wielka zmiana w mojej pozycji... wielka z mojej strony ofiara... ale zostanie mi jedna rzecz, która choć w części wynagrodzi to, co tracę. A tymczasem nie myślmy o tem. Opowiedz mi co, Klarus! Dawno byłeś w Zielonej Zagrodzie?

— Dosyć dawno. Dziś wstąpię, wracając od ciebie.

— Poszłabym z tobą, żeby się trochę orzeźwić, ale przyznam ci się, że towarzystwo Małwy średnio mię bawi. Z Jurem pogawę-

dziłabym z przyjemnością; możesz mu nadmienić, że przed wieczorem pójdę się przejść w stronę Dziecina.

Mewa zapomniała już dawno o tem, że kiedyś posadzała Klare o pensjonarski sentymencik dla Jura. W ogóle łatwo pozbywała się skrupułów, które mogłyby jej popsuć jaką przyjemność. Co się tyczy Jura, nie przypuszczała ani na chwilę, aby mógł przenieść taką Klarę nad taką Mewę. Klara w prostocie i skromności swojej myślała także to samo, tem bardziej, że Jur nie omijał żadnej sposobności, aby wychwalać przed nią wdzięki Mewy. Wiedziała też, że Mewa zabawia się bałamuceniem go, domyślała się, że to było główną przyczyną zerwania jej małżeństwa, i bardzo pragnęłaby wiedzieć, jak się ułoży nadal stosunek Mewy z Jurem, bojąc się dla niego jakoby niebezpiecznych następstw igrania z ogniem. W tej myśli spytała Mewy:

— Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego mianowicie chcesz się widzieć z Jurem?

— Dla rozrywki w mojem obecnem usposobieniu, po prostu, — odpowiedziała swobodnie Mewa.

— Powiedz mi, Mewo, czy nie pomyślałaś nigdy o tem, że to, co dla ciebie stanowi rozrywkę, jego może narazić na... na...

— Wykrztuś-że, na co? — roześmiała się Mewa.

— Na utratę spokoju.

— Jeżeli znajdujesz, że mu to może grozić, to czemu nie wpadniesz na myśl, że już się to stało? Czyż dotąd nic nie zauważyłaś?

— Owszem... przecież widoczne, że mu się podobasz; ale tembardziej nie powinnaś tego podniecać.

— Dlaczego nie — jeżeli mię to bawi?

— Ach, Mewo!...

— Możesz być spokojną o swego protegowanego; wierz mi, że twój idealny przyjaciel także lubi takie rozrywki.

— Więc myślisz, że i on się tylko bawi, a nie jest zajęty na seryo?

— Myślę, że jedno nie przeszkadza drugiemu. Właśnie im silniejsze zajęcie się, tem przyjemniejsza gra i żywszy interes. Tak przynajmniej sędzę po sobie.

— To już ja nie wiem, o czem ty mówisz! bo ja mówię o miłości, a tem się przecież bawić nie można?

Mewa zaniosła się dzwicznym śmiechem.

— Nie, Klaro! — zawołała, — ty umrzesz równie naiwną, jak się urodziłaś! Więc gdybym ci naprzykład powiedziała, że podkochuję się — przypuśćmy zresztą, że kocham się — w Jurze, to jakibys z tego dalszy wniosek wysnuła?

— Że nie mogąc wyjść za niego, nie dasz mu się domyśleć swego uczucia; — albo też, że nie zważając na nic, zostaniesz jego żoną.

— O to, to właśnie! — śmiała się dalej Mewa, — nareszcie zgadłaś!

— Co zgadłaś? przecież nie masz zamiaru...

— Kto wie?... — przerwała Mewa, przestając się śmiać, — mówiłam ci już, że mam pewien zamiar, który cię ogromnie zadziwi...

— Więc to jest to?... — zawołała Klara, ujmując rękoma czoło.

— Ale powtarzam — ciągnęła dalej Mewa, — że jeszcze teraz nie chcę nic mówić. Masz

wolne pole do domysłów, przenikliwa osóbkę! No, a teraz przyszedł mi Jura? Jesteś przecież jego przyjaciółką — i moją, prawda?

— Przyszł ci go, — odpowiedziała Klara bezdźwięcznym głosem, i spiesząc się pożegnawszy, wybiegła, ślaniając się, jakby w odrzuceniu.

Mewa przechyliła głowę przez poręcz sofy — i pokazała drobne ząbki, śmiejąc się sama do siebie. Jakto zabawnie! jak to dobrze się złożyło! Klara powierzy domysły swoje Malwie, — Malwa powtórzy je bratu, a wtedy Jur otworzy na koniec usta... te usta tak ładnie zarysowane pod ciemno-złotym wąsikiem...

„Przyslij mi Jura... wszak jesteś moją i jego przyjaciółką...” — rozpamiętywała Klara słowa Mewy, idąc spiesząc złotem rżyskiem, przetykanem szafirową ostróżką. To przecież wyraźne... Ona go kocha — i wie, że jest kochaną, ale nie może mu się narzucać, a on pierwszy jej nie powie, aby dla jego miłości zrobiła ofiarę ze swojej dumy... Dlatego Mewa odwołuje się do mojej przyjaźni... i to ja — ja — mam ułatwić... I ułatwię! Wszak pragnę szczęścia dla niego bardziej, niż dla samej siebie? więc mu je dam! dam mu je tak ochotnie, jakbym dała odust moich ostatni kawałek chleba głodnemu dziecku jedynemu... Ptak krwawi sobie piersi, wyrывая pióra na usłanie gniazda dla piskląt; czyżbym nie potrafiła tego, co umie ptak?... Potrafię!... Jest siła, która wesprze słabość moją...

Wzniosła oczy tam, gdzie było źródło jej mocy — i pewną ręką otworzyła wrota Zielonej Zagrody.

Przed stodołą stał wóz, naładowany snopami pszenicy, Malwa z Marcinową uwijały się koło niego.

— Gdzie brat twój, Malwo? — spytała Klara.

— Czy ci się śni w oczach? — odrzekła, śmiejąc się Malwa. — Ot, stoi jak długi we wrotach stodoły!

Jur podszedł przywitać się z Klarą, a ona rzekła pospiesznie, trochę zdyszana:

— Mam do pana interes, panie Jerzy... Czy może pan przejść się ze mną trochę?... Przepraszam cię, Malwo, ale to cudzy sekret...

— Dobrze, dobrze! — odparła Malwa, zajęta zdejmowaniem snopów. — Ale po konferencji wstąp do mnie na gawędkę!

W kilka chwil potem Klara zatrzymała się w końcu sadu, nad obrywem, i usiadła pod pochylą wierzbą, na zielonej kępinie.

— Słucham! — rzekł Jur, osuwając się w bujaną trawę u jej nóg.

Z nadejściem stanowczej chwili, Klara — przedtem silnie wzruszona — odzyskała zupełną równowagę, i zaczęła ze spokojną powagą:

— Wracam od Mewy. Otrzymała list od hrabiny Wszelaczyńskiej, która proponuje jej miejsce kopcuszką w swoim domu.

— Bardzoby to było przykre dla panny Mewy — odpowiedział, — i myślę, że będzie się starała o coś odpowiedniejszego. Ale cóż dalej? Chyba pani nie to tylko miała mi zakomunikować?

— Jakto?... Czyż to nie dosyć? Czyż pan nie wie?

— Nie nie wiem — i nie nie rozumiem!

Klara zatrzymała się chwilę — a potem z nagłą determinacją wybuchła:

— Mewa pana kocha!

— Nie zdaje mi się — odparł obojętnie. — A w każdym razie, nie rozumiem, do czego pani zmierza?

— Jakto do czego? pan przecież nie może pozwolić, aby Mewa została męczennicą pani Wszelaczyńskiej!

— Jakżeż ja mógłbym temu przeszkodzić?

— Ona jest obecnie w takim położeniu i w takim usposobieniu, że zgodziłaby się przyjąć warunki życia dawniej dla niej niemożliwe...

Zastanowiła się, aby sobie dobrze przypomnieć własne słowa Mewy — i mówiła dalej:

— Byłaby to wielka zmiana w jej pozycji, wielka z jej strony ofiara, ale zostałaby jej jedna rzecz, która wynagradza wszystko, co się traci...

— Panby też naturalnie starał się o ile możliwości zmienić dla niej swój tryb życia...

— Czy to ma znaczyć, że powinienem się z nią ożenić?

— To ma znaczyć, że potrzebuje pan tylko wyciągnąć rękę — po szczęście...

— Zkądże tak silne przeświadczenie, że moje szczęście zależy od panny Mewy?

— Jakto zkąd? przecież i Mewa wie o tem, i pan się z tem nie tai.

— Tak?... kiedyż to zwierzyłem się z tem pani?

Głos jego nabrał ostrego dźwięku, a twarz sarkastycznego wyrazu. Klarze nabiegły łzy do oczu, i rzekła z cicha i ze smutkiem:

— Panie Jerzy! dlaczego pan tak do mnie mówi, jakbym ja się natrętnie wdzierала w pańskie zaufanie?... Czyż nasza dawna przyjaźń nie upoważnia mnie do otwartości?

Jur odparł ze wzrastającą ironią:

— Pani z przyjaźni chce mnie swatać? Dziękuję najpiękniej za tę przyjaźń, ale o nią nie proszę... Prosiłem kiedyś o co innego, a pani odzegnała się od tego swojemi szkaplerzami!

Spojrzał na nią badawczo chmurnemi oczyma, a ona opuściła długie rzęsy i myślała z żalem:

— Tak długo i tak surowo mię karze za to jedno zdraśnięcie jego miłości własnej!...

On wpatrzył się w żalony wyraz zbłądłej twarzyczki i zapytał niepewnym głosem:

— Czy... czy i teraz nie żałuje pani tego?...

Klara zarumieniła się i głowę z żywością podniosła. Więc on chce i teraz jeszcze, aby ona cofnęła swoje ówczesne słowa? teraz, kiedy tak o nią nie dba, że nawet jej przyjaźnią pomiata?... Wyprostowała się — i rzekła stanowczo:

— Nigdy nie żałuję, że spełniłem swoją powinność!

On ściągnął brwi, przygryzł wargę i milczał, a ona rzekła po chwili znowu już miękim i łagodnym głosem, podnosząc się z miejsca:

— Więc kiedy pan nie życzy sobie, abym z panem mówiła o niej — i abym dotykała kwestyi waszych uczuć...

— Ależ chcę, chcę! — przerwał gwałtownie, i schwyciwszy ją za rękę, posadził na to samo miejsce. — Tylko niech mi pani powie na-

reszcie, zkąd pani wie o mojej miłości dla Mewy?

— Ależ od pana samego! — odparła z pewnem zadziwieniem. — Tyle razy mówił mi pan o niej w taki sposób, że nie trudno było się domysleć!

— Panno Klaro! pani jest potwornie naiwną!...

Klara znów się zarumieniła i umilkła. Zupełnie nie rozumiała, do czego może się stosować ten wykrzyknik Jura; dziwiła się tylko, dlaczego oboje z Mewą, jakby się zmówili, wyśmiewają się z jej naiwności? Czyż ona mogła być naiwną, ona, która tak wiele czytała, ona — której tak poprostu prostaczkowie powierzali różne swoje nędze fizyczne i moralne, ona — o której pani Nabrzeńska mówiła, że żadna dobrze wychowana panna nie wie tylu niepotrzebnych rzeczy i nie jest tak nieprzyzwoicie miłośnią?...

Milczała więc, nie wiedząc, co ma mówić dalej, a on także zamilkł — i patrzył na nią ze szczególnym wyrazem, będącym dziwną kombinacją złości i zachwytu.

Była w tej chwili taka ładna. Odziana, zawsze świeżo i zręcznie w sukienkę z fioletowego płócienka z białym marynarskim kołnierzem, przypominała fiołki i konwalie. W wysokich trawach, rozchylonych do koła niej, smukła postać wyglądała, jak wiotka łodyga młodej rośliny; na zielonem tle wierzbowych splotów światłą barwą odznaczały się jasno-złote włosy i oczy błękitne, a cień skrzydeł brązowego kapelusza uwydatniał matową białosć cery, która była przejrzystą — jak dusza. Podczas całej rozmowy przez tę błądą twarzyczkę różowa fala wzruszenia przepływała — odpływała i znów powracała, i wyglądało to jakby gra purpurowych promieni na srebrno-białym obłoku.

Nareszcie Jur odezwał się pierwszy:

— Niech mi pani wytłómaczy — rzekł tym samym ostrym głosem, — dlaczego, swatając mię tak gorliwie z panną Mewą, nie bierze pani w rachunek owej różnicy przekonań, która-to podług pani, uniemożliwia wspólność pożycia? Wszakże panna Mewa ma te same, co pani, przekonania religijne?

— Naturalnie — odpowiedziała z pewnem zaskopotaniem, — Mewa wierzy w to samo, tylko... nie w taki sam sposób. Dla niej nie będzie to kwestyą pierwszorzędną wagi, czy mąż jej jest z nią lub nie jest zjednoczonym duchowo.

— Więc pani w zasadzie uznaje możliwość spółki życiowej pomimo różnicy zapatrywań metafizycznych?

— Katechizmowych — poprawiła. — Mewa — mówiła dalej, z lekkim wahaniem, — to miłe i wesołe dziecko, które się zadawała kwiatkami, rosnącemi na powierzchni życia, i nie uczuje nigdy potrzeby zajrzeć pod powierzchnię — do korzeni. Dla niej nie stanie się codzienną boleścią życia to, że istota tworząca z nią jedno jest jej obcą i daleką duchem, i samotnie idzie inną drogą — w inną stronę... Jej serca nie będzie krwawić ciągła świadomość tego, że drugie serce tak jej blizkie, nie ma z nią żadnej wspólności w tem wszystkim, co stanowi najświętszą treść i najwyższy cel życia... Ona nie zadrży do głębi duszy na myśl, że ten Bóg, w którego Imię

połączyła się z ukochanym,—rozłączy ją z nim na całą wieczność...

Zatrzymała się, bardzo blada i bardzo wzruszona — i siląc się na spokój, dokończyła z uśmiechem:

— Więc ostatecznie bardzo dobrze się składa, że Mewa nie należy do rzędu osób, którym „metafizyczne“ — jak pan je nazywa — nieporozumienie zatruloby spokój życia; bo w przeciwnym razie pan także byłby niešťęśliwym, patrząc na cierpienia blizkiej istoty ze świadomością, że w panu leży ich przyczyna, a zarazem z niemożnością przemienienia stanu rzeczy...

(Ciąg dalszy nastąpi).



J A Ś M I N Y.



W wieczorne, ciche, błękitne godziny,
Gdy złote gwiazdy lży rześiste ronia,
Swą delikatną muskają mnie wonią
Białe jaśminy...

A wtedy tęsknię, że niema dziewczyny.
Której oczęta, lży, jak gwiazdy ronia,
Co mnie warkoczy swych odurzy wonią,
Jak te jaśminy...



Z Ł O T O W Ł O S A.

Gdy zmierzch błękitny otuli niebiosą
I sen na liście drzew tchnie wonną ciszę —
Twój smętny pacierz w szumie kwiatów słyszę
Złotowłosa...

Kiedy z za boru płynie pieśń stugłosa
I mdlejąc dźwięczy po strunach przezroczy,
Ja widzę twoje szafrowe oczy
Złotowłosa...

Kiedy na trawy padnie srebrna rosa
I gdy po łąkach senny zefir wionie,
Na swoim czole czuję twoje dłonie
Złotowłosa...

Zygmunt Różycki.



Towarzystwo ochrony kobiet.



14, wyraźnie czterdziestu czterech członków rzeczywistych, liczy założone przed kilku miesiącami z inicjatywy dwóch szerokiej miary działaczy społecznych: hr. Gustawa Przeździeckiego i d-ra Józefa Zawadzkiego, Towarzystwo ochrony kobiet.

Nawet mistyczna aureola otaczająca tę symboliczną liczbę, nie zatrze siły faktu, że jest to za mało, stanowczo za mało, ze względu na olbrzymie znaczenie, jakie przyniesłoby mogła społeczeństwu naszemu podobna instytucja, gdyby to społeczeństwo zespolić się

chciało z inicjatorami w pobudkach, celach, dążeniach i pracy wspólnej.

Niestety! Ten wspaniały gmach tryumfu miłości bratniej nad ujemnymi instynktami natury ludzkiej, samą li tylko siłą zacnych chęci i pracą, choćby najusilniejszą inicjatorów powstać nie może, bo i najgenialniejszy architekt bez materiałów i setek rąk pomocnych, nie nie zbuduje.

Towarzystwo ochrony kobiet, aby rozwinąć swoją działalność, potrzebuje szerokiego poparcia społeczeństwa w ogóle, a kobiet w szczególności, gdyż od czasów satyryka epoki Stanisławowskiej, nie się podobno nie zmieniło u nas i po dawnemu, panami świata rządzi pleć słabsza. Idzie tylko o to, by wpływ ten ogólny na naszych mężczyzn ku szlachetnym skierować celom.

Nie tylko w Warszawie, lecz i w miastach prowincjonalnych, po dworach wiejskich, nie brak dziś kobiet inteligentnych i co za tem idzie, rozumiejących potrzeby społeczne, a przede wszystkim, potrzebę opieki nad wszystkimi kobietami, skutkiem przeróżnych komplikacji życiowych pozbawionymi tejże.

Towarzystwo ochrony kobiet!!

Wzywam usilnie wszystkie rozumne i zacne niewiasty-Polki, niech poświęcą chwilę zadumy tym trzem wyrazom! Obudzą one napewno obok głębszych refleksji umysłu, szlachetniejsze porywy ducha, przez brak inicjatywy i rozmaite kolizje życiowe często na zagładę skazane.

Zadania Towarzystwa, które mają zakres bardzo szeroki, omawia szczegółowo: „Ustawa Towarzystwa ochrony kobiet,“ — tu więc streścić pragnę tylko ważniejsze punkty.

Przedewszystkiem, punktem przewodnim wyjścia dla działań Towarzystwa, jest zasada ściśle identyczna ze zdaniem znakomitego myśliciela La Rochefoucauld'a, którego głęboki aforyzm opiewa, iż: *cnota nie jest nic innego, jak tylko: nie narażanie się na pokusy*. Pragnie więc ono, otoczyć opieką kobietę samotną, szukającą uczciwej pracy, bez różnicy stanu, od dziewcząt przybywających do miasta za służbą, do szwaczek, nauczycielek etc., etc. To znaczy, iż będzie się starało wynaleźć tę pracę i zapewnić tymczasowy przytułek do chwili znalezienia tejże.

W tym celu zamierza Towarzystwo wywieścić na dworcach kolei, w wagonach, na parostatkach i t. d., odpowiednie zawiadomienia, ze wskazaniem, dokąd kobiety samotne przybywszy do miasta udawać się mają, a nawet wysyłać będzie na dworce kolejowe agentów swoich, celem udzielania przybyłym informacji.

Czyż to wszystko tak konieczne? — pomyśli niejedna czytelniczka, stąpająca pewnie i śmiało po ścieżce żywota, pod troskliwą opieką rodziny lub męża... Wszak nie było Towarzystwa, a przecież *jakoś* tam sobie dawały radę kobiety.

Niewątpliwie. Lecz tylko duchy silne wytrzymują ogniowe próby pokus i przeciwności, na jakie narażoną jest kobieta samotna, szukająca pracy. Słabe — a tych jest najwięcej, gną się w tej walce, łamią i giną w zawrotnej fali.

Drugim punktem wytycznym działań Towarzystwa, jest dopomaganie dziewczętom

upadłym do powrotu na drogę uczciwą. Tu — intencja najszlachetniejsza ze szlachetnych, sama za siebie mówi. Każde zwycięstwo na tem polu, to wyrwanie spodłonego ducha hydrze zepsucia, to zwycięstwo wzniosłej idei Chrystusowej nad ślepą potęgą złego.

Powiem tylko, że rozumne oddziaływanie czystych, zacnych kobiet, na synów, mężów i braci, ułatwi zadanie Towarzystwa, przez zmniejszenie przedewszystkiem liczby tych nieszczęśliwych ofiar brutalnych instynktów.

Trzeciem wreszcie zadaniem Towarzystwa, jest otwieranie różnych zakładów, wchodzących w zakres jego działalności. A więc:

a) Sale rozrywek i zajęć dobrowolnych dla dziewcząt i kobiet niezamożnych, w celu dostarczenia im godziwych rozrywek w wolnym od pracy czasie.

b) Schroniska dla pobytu czasowego dziewcząt i kobiet przyjezdnych, pozostających bez zajęcia lub zmieniających służbę, w których mogłyby przygotowywać się do zajęć rozmaitych, i

c) Schroniska dla dziewcząt i kobiet pozbawionych ogniska rodzinnego.

Ze wszystkich zadań Towarzystwa, najwięcej przypada mi do serca otwieranie sal rozrywek i zajęć dobrowolnych dla kobiet samotnych, pracujących,

Rozrywki te, poprowadzone i kierowane energicznie przez połączenie dobrych chęci członkiń Towarzystwa i funduszy odpowiednich, wydałyby owoce tak bogate, że niemal przechodzące nadzieje. Praca bowiem obowiązująca dni powszednich, chroni ubogą dziewczynę od złych myśli i pożądań niewłaściwych, ale w dzień świąteczny, lub wolny od zajęć, zmysły tem gwałtowniej nasuwają wyobraźni różne ponęty, napozór niewinne a zgubne.

Sal rozrywek rozpoczną dopiero i pomyślnie przeprowadzą umysłowe i etyczne wychowanie większości pracownic, którym dola-macocha odmówiła w dzieciństwie tego największego dobra. Lecz stać się to może jedynie przy pocziwem współdziałaniu licznych członkiń Towarzystwa, o ile te ostatnie z miłością prawdziwą przyjdą tu zająć się ubożuchnemi duchem i stanowiskiem siostrami.

Oczyrna duszy zawczasu oglądam miraż takich sal uposażonych we wszystko, co rozrywkę szlachetną i wesołą zapewnić może, zapelnionych młodemi pracownicami o jasnych twarzach i czystych spojrzeniach.

Nie sądźcie, kochane Czytelniczki, aby zaciągnięcie się w poczet członkiń Towarzystwa ochrony kobiet, zaciążyło na waszych zajęciach codziennych, swobodzie, finansach wreszcie.

Trudy i koszty, podzielone przez setki uczestników, będą mniej, niż nieznaczne. Przyjmijcie udział w tej siejbie społecznej, której plony będą tem bogatsze, im więcej ciepła z serc waszych na nią spłynie.

Niech każda z was postawi sobie za zadanie siłą swego zapału wykrzesać z chłodnych nawet serc iskrę miłości dla sprawy ochrony kobiet.

Pamiętajmy tylko, że kwestya finansowa jest bezwątpienia dla początkującego Towarzystwa więcej, niż palącą, bo brak funduszy całą jego działalność sparaliżować może i dla-

tęgo spieszmy do kancelaryi Towarzystwa ochrony kobiet (Leszno 25, lokal Pogotowia, od godziny 3½, do 4½, po południu), niosąc ochotnie swój skromny wkład z przeświadczeniem, żeśmy go złożyli na cel wielki i zacny.

Opłacenie składki, wynoszącej na rok cały niewielką sumkę 5 rubli, czyni nas rzeczywistymi członkami Towarzystwa z prawem głosu.

Pamięci pań ziemianek polecamy również gorąco sprawę ochrony kobiet, przez łaskawe zapisywanie się na członkinie Towarzystwa.

Wanda Grot-Bęczkowska (Korotyńska).



Sentymalizm w wychowaniu.



(Ciąg dalszy).

W wychowaniu moralnem również co krok spotykamy się z objawami sentymalizmu; czemuż bowiem przypisać owo skwapliwe zaspakajanie zachcianek dzieci, często dla nich zgubnych, to uleganie kaprysom i fantazyom dziecinny, tę pobłażliwość, z jaką rodzice i wychowawcy pozwalają na wszystko, zamykając oczy na smutne następstwa ztąd wynikające? Ta pobłażliwość wytwarza typy o słabej woli, ulegające wszelkim bodźcom wewnętrznym i zewnętrznym, a wskutek tego zdolne do najhaniebniejszych czynów. W niektórych domach bogatych dziecko staje się małym tyranem, nie tylko dla sług, domowników i nauczycieli, ale nawet dla własnych rodziców. Pod pozorem niekrepowania jego indywidualności, pozwala mu się częstokroć na najkarygodniejsze wybryki i zachcianki; pod pozorem dbałości o jego wygodę i zdrowie, czyni się zeń sybarytę, egoistę, uważającego własną wygodę i przyjemność za prawo ogólne, któremu wszystko się powinno podporządkowywać. Takie wychowanie dzieci zauważyć się daje zwłaszcza wśród naszych sfer mieszczańskich, oraz plutokratycznych. W wychowaniu uczuć sentymalizm rozpościera się z zupełną swobodą, będąc na gruncie dla siebie najodpowiedniejszym. Sentymalizm jest właściwie surrogatem uczucia, karmi się też tylko surrogatami. I tak zasada wspierania biednych dała początek filantropii, która po większej części jest surrogatem miłosierdzia chrześcijańskiego; tak, jak formy towarzyskie są surrogatem miłości bliźniego. Filantropia nasza, polega na tem, że czynimy dobrze innym, bez żadnego uszczerbku dla siebie, a nawet częstokroć szukając w tem pewnej przyjemności lub sławy. Więc dzieci za przykładem starszych, zachęcane są do filantropii tańczącej, śpiewającej i deklamującej, zamiast nauczyć je, aby z zaoszczędzonego na przyjemnościach grosza wspierały biednych pociechu. Miłość dzisiejszych dzieci dla rodziców i na odwrót, przeważnie zasadza się na zewnętrznych oznakach, nie na czynach; ponieważ rodzice sami przyzwyczajają dzieci do uważania siebie li tylko za dostarczycieli przyjemności, a poufałość względem matki lub ojca, przeradza się częstokroć w zupełny brak poszanowania. Matki sądzą, że nie odmawiając niczego dzieciom,

rozbudzą ich przywiązanie ku sobie, lecz najczęściej dzieje się przeciwnie. Ileż to razy widzimy matkę wprost wyzyskiwaną przez rozpieszczone dzieciaki, domagające się coraz to nowych przyjemności. Sentymalna owa matka tak sobie rozumuje: „Życie i bez tego dość ciężkie, abym jeszcze miała moje dzieci kępować w czemkolwiek. Dokąd są przy mnie, niech mają wszystko, czego tylko zapragną, a gdy dorosną, będą mię przynajmniej wspominały wdzięcznem sercem.“ Matki takie zapominają, że gdy człowiek nieza hartowany wstępuje w szranki życia, tem dotkliwiej odczuwa jego ciosy, bo jest zupełnie na nie nieprzygotowany, i nieraz pada tego ofiarą. Bardzo więc złą usługę oddajemy dziecku, dogadzając wszystkim jego zachciankom.

Do dzisiejszego systemu wychowania należy także unikanie sposobności do wszelkich walk moralnych, usuwanie wszelkich pokus, choćby najdrobniejszych, których pokonywanie tak dzielnie wyrabia w dziecku charakter. Nieulega zaprzeczeniu, że pokusy nie powinny być za silne, ani też nie powinniśmy umyślnie ich nasuwać młodzieńczej duszy, którą należy jeszcze chronić jak wątłą roślinkę, zarówno od chłodu, jak od zbyt palących promieni słońca,—ale, przez litość, nie trzymajmyż jej pod kloszem, bo wówczas wyrośnie słaba i ulegająca wszystkim wpływom temperatury!

Książki niemoralne, pornograficzne, bezwzględnie nie powinny znajdować się w domu, gdzie jest dorastająca młodzież; ale są książki, które, ściśle biorąc, niepodobna nazwać gorszącymi, ale które, mimo to, nie mogą być dane do rąk młodzieży, bo pobudziłyby ją do przedwczesnych refleksji. Zamiast jednakże zamykać takie książki pod kluczem, nauczmy dziecko panowania nad niezdrową ciekawością; niech wie, że książek tych nie dajemy mu przez wzgląd na jego własne dobro.

Jeżeli zauważymy, że dziecko ma skłonność do łakomstwa, lubi łakocie, nie chowajmy ich przed nim, aby je nie narażać na pokusę; owszem, niech ją zwalczy w sobie, a wówczas da dowód charakteru. Życie bowiem nie będzie ukrywało przed nim swoich łakoci i błyskotek, ale owszem, roztoczy je przed jego oczyma w postaci urzędów, kariery, majątku, żądając nieraz w zamian za to wyrzeczenia się ideałów, zasad, a częstokroć nawet czci,—któż wtedy walczyć będzie z temi pokusami?

Należy tu także nadmienić parę słów o owem pielęgnowaniu tchórzliwości, zwłaszcza w dziewczętach. Już Orzeszkowa dawniej na to zwróciła uwagę, że tchórzliwość w dziewczynie poczytuje się za pewnego rodzaju wdzięk; dziś coraz rzadziej głośno się do tego przyznajemy, bo od czegoż modne hasło samodzielności? Mimo to, wśród naszych młodych panien przeważnie spotykamy tylko dwa typy: brawujący, t. j. udający śmiałość i tchórzliwy. Kobiety spokojnych, o nerwach zrównoważonych, o odwadze bez popisu, prawie, że się nie spotyka, bo przekonanie o uroku tchórzliwości w dzisiejszej kobiecie, jeszcze dotąd panuje atawistycznie. Raz już powinno narzeczcie rozpowszechnić się pojęcie, że tchórzliwość hańbi zarówno mężczyznę, jak i kobietę, gdyż upadła charakter, czyniąc go podległym wszelkim poruszeniom nerwów. Meto-

da Kneip'a, która dała tak dodatnie rezultaty w dziedzinie wychowania fizycznego, jako pobudzająca energię ciała, powinno znaleźć naśladowcę w dziedzinie wychowania moralnego, dla pobudzenia energii duszy, aby zapanowała nad nerwami, gdyż w tej dziedzinie panuje pewnego rodzaju automatyzm. Automatyzm zresztą, to ideał etyki mieszczańskiej. Spencer stawia następny horoskop ludzkości: Po długich wiekach stopniowej ewolucyi, dojdzie ona do tego, że stanie się moralną odruchowo,—człowiek nie będzie potrzebował żadnego wysiłku duchowego, aby być dobrym, gdyż stanie się moralną maszyną.

Do objawów sentymalizmu w uczuciach należy także dewocja, zasadzająca się na wypełnianiu czysto zewnętrznych praktyk religijnych, bez przejęcia się duchem wiary, bez ujawniania jej w czynach. Dewocja naszych dam wielkiego świata została wprost importowana z Francji, gdzie jest ona na wskroś prześięknięta sentymalizmem. Pomijamy tu wstrętny i pełny obłudy typ bigotek i bigotów,—mówimy tylko o osobach, zamiłowanych w słodko-ekliwej pobożności, objawiającej się w zewnętrznych oznakach, i szukających w niej nie pokrzepienia w spełnianiu obowiązków, nie zachęty w dobrem, ale zapelnienia próżniaczych godzin, oraz rozbudzania w swej duszy rzekomych ekstaz religijnych, nie wiodących wcale do większego uduchowienia, ani udoskonalenia moralnego. Tęgo rodzaju nabożeństwo szerzy się wszędzie, od najwyższych sfer do najniższych, tworząc wielce niesympatyczny i tylekroć wyśmiewany typ dewotki, grasujący zwłaszcza na prowincyi i odstraszaający od religii osoby szczerze, proste i nienawidzące sentymalizmu.

Przejdźmy teraz do wychowania umysłowego. Nie jest ono także wolnem od sentymalizmu; aby się o tem przekonać, uprzytomnijmy sobie dążenia dzisiejszych pedagogów. O cóż im chodzi? Oto ideałem każdego prawie z teraźniejszych postępowych wychowawców jest ułatwienie nauki i sprowadzenie pracy umysłowej dzieci do minimum. Ażeby ten cel osiągnąć, staramy się nie tylko rzecz wyłożyć jak najbardziej pogładowo, ale jeszcze chodzi nam o takie zainteresowanie dziecka, jakie ma miejsce przy zabawie. Chcemy wciąż uczyć, bawiąc i bawiąc, uczyć,—słowem dwie te dziedziny: nauka i zabawa, tak napozór różne, łączą się z sobą w dzisiejszem kształceniu. A przecież nabywanie wiedzy w zwykłych warunkach wymaga wielkiej nieraz pracy, wytrwałości w pokonywaniu przeszkód i t. d. W dzisiejszym jednakże kierunku panuje wszechwładnie strach przed każdym wysiłkiem, zarówno moralnym, jak i umysłowym, oraz automatyzm, uświęcający zupełną duchową bierność; nauka ma być zastrzykiwaną wszystkimi porami mózgowymi, bez żadnego w tem udziału woli ze strony jednostki, pobierającej wykształcenie. O ile więc dawniej nauka, chociaż szwankowała pod względem metody nauczania, wyrabiała jednakże wytrwałość, charakter, o tyle dziś jest ona biernem przyjmowaniem wiadomości z rozmaitych dziedzin. A chociaż nieraz wyczerpuje siły fizyczne ucznia, lecz to się dzieje jedynie z powodu ilości zadawanych przedmiotów, ale bynajmniej nie w skutek pło-

dnego wysiłku umysłowego, który po chwilo-
wym znużeniu daje zadowolenie moralne, wy-
wołane zwycięstwem, odniesieniem nad tru-
dnościami.

Pozostaje nam jeszcze jedna dziedzina, gdzie
sentymantalizm również uczynił wyłom, mia-
nowicie dziedzina wrażeń estetycznych. Dziś
na tem polu rządzi jedynie wrażliwość zmy-
słów i nerwów; teraźniejsze pokolenie jest nad-
miernie czułem na wszelkie dysonanse barw,
tonów, rymów i t. d., a obok tego częstokroć
obojętnem bywa na fałsz życiowy, na dyshar-
monię czynów i zasad. Czyż się to zgadza
z istotnem poczuciem piękna? Nie jest-li to
raczej pewnego rodzaju sentymentalizmem
w kulturze estetycznej, ochrzczonej modną
nazwą impresjonizmu? Bo czemuż jest wła-
ściwie sentymantalizm? W sferze uczucia jest
on roztkliwieniem się nad sobą i nad poru-
szeniami własnego serca, wobec widoku cu-
dzego cierpienia; nie idzie nam tu o radykal-
ne usunięcie przyczyn owego cierpienia, lecz
o dogodzenie naszym nerwom, nie znoszącym
jego widoku. W sferze sztuki jest również
rozpieszczeniem, lub też podnieceniem nerwów,
którym staramy się dogadzać za pomocą róż-
nych subtelnych pobudek, nie mających nic
wspólnego z wyższymi duchowymi aspiracyami.
Zamiast idei, w sztuce zapanował nastrój.

Wszystkie te przejawy sentymantalizmu
w wychowaniu są wynikiem kilku przyczyn,
z których pierwszą jest reakcja przeciwko
dawnej metodzie wychowania, drugą—wpływ
wyobrażeń i ideałów mieszczańskich na współ-
czesne pokolenie, trzecią zaś—zmiana warun-
ków życia, a z nią nadmierny rozwój wrażli-
wości nerwowej. Ponieważ celem kultury
mieszczańskiej jest dobrobyt, zarówno ducho-
wy, jak i fizyczny, więc starano się w wy-
chowaniu przede wszystkim o jak największe
oszczędzenie owej wrażliwości, czego wyni-
kiem jest, że niektóre jednostki czynią sobie
boga z własnych nerwów i podporządkowują
im wszystko. Dzisiejsza kultura, to nie kul-
tura ducha, lecz kultura nerwów. Nerwy, ów
subtelny instrument, ze pomocą którego du-
sza może się objawiać, uczyniono narzędziem
wywoływania niezdrowych sensacji, a one,
mszcząc się za takie pogwałcenie natury, sta-
ły się plagą ludzkości.

X.

(Dokończenie nastąpi).



DO ZAWIEDZIONYCH.



...A gdy cierpienie cię uciśnie
I niepomierne żnój,
Gdy w oku gorzka łza zabłyśnie,
I strudzi ciężki bój —

Wspomnij, o bracie, zgasłe już ludy,
I wszystką przeszłych wieków niedolę...
I to ci może zmniejszy twe trudy
I będzie światłem w błędnym twem kole...

I mękę swoją do skarbnicy
Ludzkiego ducha złóż...
A może przyszli bojownicy
W niej znajdą ster wśród burz...

Może w niej znajdą siły zasoby,
Może im ona będzie pociechą...
I może nasze nieznane groby
Wdzięcznej modlitwy opłynie echo...

Mieczysław Olszowski.



O żywieniu chorych.



Lekarz, kiedy pragnie zwycięsko zwalczyć
chorobę pacjenta, musi przede wszystkim czy-
nić wszelkie usiłowania, aby przez odpowie-
dnie zastosowanie pożywienia zachować ustro-
jowi daną mu od natury siłę odporną ku
zwalczaniu chorób. Musi więc starać się o u-
trzymanie ustroju w stanie o tyle pomyslnym,
aby mógł on przetrwać chorobowe zmiany
pojedynczych narządów. Już 2,000 lat temu
przeszło, Hipokrates, genialny lekarz grecki,
który wypowiedział złote słowa: „Natura jest
lekarzem chorób,” — pilną zwracał uwagę na
przepisy dyetetyczne. Wiedział on już bo-
wiem, że wobec ścisłej spójni, zachodzącej po-
między wszystkimi funkcjami ustroju, obok
leczenia miejscowego, powinno się zawsze
dbać o ustrój, jako o całość. Materiałów zaś,
których potrzebujemy do wytworzenia tkanek
naszego ciała zarówno w zdrowiu, jak i w cho-
robie, dostarcza nam pożywienie. Ono to wy-
tworza potrzebne ustrojowi ciepło, daje siłę
naszym mięśniom, umożliwia przemianę ma-
teryi, reguluje obieg krwi, jednym słowem,
pokarmy wynagradzają te straty, jakie pono-
si ustrój przy codziennej swej pracy.

W ostatnich czasach, badacze w dziedzinie
fizjologii, wyjaśnili za pomocą doświadczeń
nad żywieniem zwierząt, jak również za po-
mocą obserwacji, czynionych nad zdrowymi
i chorymi ludźmi, w jaki sposób pokarmy
doprowadzają do ciała zapas składników che-
micznych, które rozkładając się i ulegając
spaleniu, zamieniają się w siłę żywotną. Na-
stępnie to zaś w ten sposób, że składniki te
pod działaniem tlenu, którym ustrój jest prze-
pojęny, ulegają powolnemu spalaniu.

Przemiana ta jest w zasadzie zupełnie iden-
tyczną z tem, co w mowie potocznej nazy-
wamy paleniem się np. drzewa w piecu. I tu
nie następuje nic innego, jak tylko rozkład
pod wpływem tlenu, czyli utlenianie. Do-
stępny zaś zmysłom naszym wyrazem fizycz-
nym sprawy tej, jest w jednym i drugim
przypadku wytwarzające się ciepło.

Nauka zbadała też prawa, wedle których
regulować się musi ilość i skład naszego po-
żywienia, aby ono było w stanie zastąpić
straty poniesione przez ustrój. Zdajemy więc
sobie dokładnie sprawę z pożywności pokar-
mów (wiele każdy z nich zawiera składników
chemicznych wytwarzających ciepło), paląc je
w specjalnym przyrządzie, zwanym kalory-
metrem. Jako jednostkę miary, jak w ogóle
przy wszystkich pomiarach ciepła, przyjmuje-
my tu kaloryę, t. j. taką ilość ciepła, która
jest w stanie temperaturę kilograma wody
wynoszącą 0°C., podnieść na 1°C. Obracho-
wanie zwykłego pożywienia ludzi normalnych

wykazało, że człowiek dorosły potrzebuje prze-
cięciowo na jeden kilogram wagi swego ciała
dziennie od 40 do 45 kaloryi, a mianowicie
leżąc w łóżku od 30—35 kaloryi, przy umiar-
kowanym ruchu fizycznym 40—45 kaloryi,
przy ciężkiej pracy fizycznej 45—60 kaloryi.
W ciele np. człowieka ważącego 70 kilogra-
mów, który pracuje umiarkowanie, w skutek
przemiany materyi wytwarza się 2,800 (70 ra-
zy 40) kaloryi.

Pożywność naszych pokarmów zależy od
tego, o ile zawierają w sobie białko, tłuszcz
i węglowodany (pokarmy zawierające cukier
i krochmal). Ciała te, obok wody i nie-
których soli są niezbędnymi dla odżywiania
naszego ustroju. Obrachowano, że robotnik
o wadze ciała 70 klgr., potrzebuje przecięciowo
dziennie 118 gramów białka, 56 gramów tłuszc-
zu i 500 gramów węglowodanów. Ilościowy
stosunek tych trzech grup substancji odżyw-
czych w pożywieniu ludzi jest bardzo różny.
Zależy on od wieku danego osobnika, od
mniej lub więcej ruchliwego trybu jego ży-
cia, od pory roku i klimatu, od indywidual-
nych właściwości ustroju, jak np. chudości lub
otyłości i t. p. Najniezbędniejszem jednak do
utrzymania naszego ciała jest białko, której
to substancji odżywczej nieczem innem bez
szkody ustroju zastąpić nie możemy.

Przyroda dała nam tylko jeden taki po-
karm, który jednoczy w sobie wszystkie dla
ustroju ludzkiego potrzebne substancje od-
żywcze, a podaje go ona bezradnemu niemo-
włęciu w postaci mleka matki. We wszyst-
kich jednak późniejszych okresach swego ży-
cia, człowiek potrzebuje pożywienia daleko
więcej złożonego, a składają się na nie naj-
różnorodniejsze pokarmy. Dostarcza mu ich
zarówno królestwo zwierząt, jako też i roślin,
w stanie stałym lub płynnym. O pożywno-
ści naszych pokarmów stanowi ilość zawarte-
go w nich białka, które w zwykłym pożywie-
niu człowieka przedstawia szóstą część mate-
ryału potrzebnego dla prawidłowego odżyw-
iania ustroju. Spożywamy białko bądź to w po-
karmach dostarczonych nam przez zwierzęta,
jako to: w mleku, mięsie, jajach, serze, albo-
też jako białko roślinne w postaci chleba, ro-
ślin strączkowych lub jarzyn. Białko w po-
żywieniu jest jedynym źródłem, z którego
czerpiemy je dla ustroju naszego, dlatego też
powinno ono bardzo w nie być zasobne, aby
mogło zachować ustrojowi istniejące już w nim
białko i wytworzyć nowe. O ile większą jest
praca naszych mięśni, o tyle potrzebniejszy
dla zastąpienia wzmózonej przeróbki białka,
obfitszy jego dowóz w pożywieniu naszym.
Środkami zaoszczędzającymi zużywanie się
białka w ustroju, są spożywane przez nas
tłuszcze, węglowodany i substancje klejowa-
te, które oprócz tego zadania mają jeszcze
i samodzielne odżywcze znaczenie. Dla obra-
chowania wartości pożywnej pokarmów wa-
żnem jest stwierdzenie, że 1 gram białka da-
je 4,1 kaloryi, 1 gram tłuszczu 9 kaloryi,
a 1 gram węglowodanów 4,1 kaloryi.

Przy żywieniu chorych wprowadzenie do
ustroju takiej ilości białka, aby białko znaj-
dujące się w ustroju zostało mu zachowane,
jest o wiele trudniejsze. Jest to szczególnie
trudnem zadaniem u chorych gorączkujących.
W gorączce przemiana materyi jest szybsza,

rozpad tkanek wzmożony, a przeróbka białka wzrasta. Wiadomo, że przy wysokiej gorączce, kiedy wszystkie te objawy w spotęgowanym występują stopniu, żaden pokarm nie jest w stanie utrzymać w ustroju równowagi białka. Odżywianie za pomocą pokarmów jest w gorączce bardzo utrudnione, gdyż przede wszystkim brak choremu apetytu, — żołądek i kiszki nie trawia normalnie i w skutek tego znaczna część substancji odżywczych przepada, nie wyzyskana należycie. Zmuszając chorego gorączkującego do jedzenia, nie oddajemy mu żadnej przysługi — lecz powinniśmy troskliwie zastosować żywienie do jego stanu, uwzględnić wszelkie wstręty do różnych pokarmów, starać się ułatwić zadanie narządom trawienia, jednym słowem wzmacniać stopniowo w sposób ogólny.

Otóż przede wszystkim przez wzmożone w gorączce uczucie pragnienia, sama natura zwraca na to naszą uwagę, że taki chory powinien dużo pić i że napoje powinny być chłodne i często podawane. I w rzeczywistości chory gorączkujący, pijąc często, nie tylko gasi pragnienie, ale jeszcze przeciwdziała korzystnie gorączce, bo wzmożone wówczas wydzielanie się wody przez płuca i pot, zostaje w ten sposób pokryte, — wydzielnicza działalność nerek podnosi się i następuje wydzielanie się trucizn z ustroju w stanie rozcieńczonym. Chłodna temperatura napoju lepiej gasi pragnienie i obniża podwyższoną ciepłotę ciała. Należy więc dawać chorym gorączkującym wiele tylko zechcą zimnej wody o temperaturze 6° do 10° C. Można dodać tu jakiego soku owocowego, któryby przyjemnym kwaskowatym smakiem orzeźwiał chorego. Używane są także wody alkaliczne, np. woda selcerska, które przez zawarty w nich kwas węglany, bardzo są przez chorych lubione. Czasem daje się także lody owocowe, ale jeżeli zimno drażni i wywołuje kaszel, jak to bywa przy chorobach narządów oddychania, to należy odmówić choremu nawet chłodnego napoju.

Pokarmy także najlepiej podawać choremu w stanie płynnym i chłodne. Pierwsze między niemi miejsce zajmuje łatwo strawne mleko, które dawać należy przegotowane, ostudzone, o temperaturze do 8° C., często, ale w małych dawkach. Mleko zawiera bowiem wszystkie potrzebne dla naszego ciała substancje odżywcze w bardzo korzystnym stosunku; wartość jego odżywcza jest nader wysoka, mniej więcej 70 kaloryi na 100 cm. mleka, to jest równa się połowie odżywczej wartości tejże samej ilości mięsa. W ten sposób chorzy gorączkujący, którzy nieraz są w stanie wypić od trzech do czterech kwart mleka dziennie, napojem tym zupełnie dobrze się odżywiają. Lecz i z daniem mleka trzeba ostrożnie sobie poczynać, najprzód dawać po kieliszku od czterech do pięciu razy dziennie, potem co dwie godziny kieliszek, a na koniec i większą naraz ilość. Czasem znoszą chorzy mleko tylko w stanie rozcieńczonym, zmieszane z wodą, albo też z wodą selcerską, czy też rozbite z kleikiem jęczmiennym, ryżowym lub owsianym. Dodawać można do mleka trochę kawy, herbaty, czekolady, niekiedy i trochę koniaku, łyżeczkę od herbaty na szklanekę. Jeżeli chory dobrze mleko trawia, można mu do-

lewać po trochu śmietanki, z początku tylko dziesiątą część ilości mleka, postępując stopniowo aż do jednej trzeciej części. Dodawanie cukru mlecznego jest także bardzo korzystne.

Pożytecznym pokarmem płynnym, w którym chory również białko otrzymuje, jest rosół gotowany z wołowiny, cielęciny, baraniny, kury lub gołębi. Rosół zawiera wprawdzie małą ilość białka, ale obok tego klej, tłuszcz, sole i tak zwane substancje wyciągowe, które wpływają podniecająco na serce i nerwy i pobudzają apetyt. Wartość odżywcza filiżanki rosółu (około 200 cm) wynosi mniej więcej 16 kaloryi — nie jest więc wcale wysoka. Można ją atoli powiększyć przez dodanie jej albo też przygotowując rosół w butelce. Krajemy świeże, zupełnie z tłuszczu oczyszczone mięso w małe zupełnie kawałki, które kładziemy do butelki z jaknajszerszą szyjką. Zatykamy ją niezbyt szczelnie, i wstawiamy do naczynia z zimną wodą, gotując na niezbyt silnym ogniu. Po 20 minutowem gotowaniu (od chwili zawrzenia rosółu) — utworzy się w butelce płyn brunatny ze skrzepnięciem białkiem, który posiada wszystkie pożywne części rosółu w skoncentrowanym stopniu. Jeżeli zaś dodajemy jajko do rosółu, to powinniśmy je starannie rozbić jeszcze na surowo, aby nie było zupełnie błonek pływających w białku, lecz aby stanowiło ono jedną płynną masę, dla tego też bezpieczniej brać samo żółtko. W najnowszych czasach przemysł chemiczny wyprodukował szereg preparatów białka, które dodajemy do mleka lub rosółu a mają one za zadanie wprowadzenie do ustroju bardzo pożywnych substancji, przygotowanych w taki sposób, że są one strawne nawet dla osłabionego żołądka. Zupy podawane chorym gorączkującym nie powinny być nigdy gorące — temperatura ich właściwa od 20° do 25° C.

Bardzo też smacznym i pożywnym dla chorych pokarmem są galarety, do których przygotowania używamy nóżek cielęcych albo też rozpuszczonej w rosole żelatyny. Dla smaku dodajemy do nich soku cytrynowego, cukru a czasem i wina. Galaretki te, ostudzone, mają smak orzeźwiający, oprócz tego są jeszcze pożywne przez zawarty w nich klej, który wpływa korzystnie na zmniejszenie rozpadu białka w ustroju. Chory nie może się również obejść bez węglowodanów, t. j. bez pokarmów zawierających krochmal i bez cukru; tak więc jako strawne i pożywne możemy zalecić różne kaszki, sago, tapiokę, gotowane jednak tylko na rzadko w postaci zup, a to aby zbyt nie przeładować żołądka. Łatwo wchłaniający się cukier, rozpuszczony w wodzie z cukrem, albo też użyty w postaci soku owocowego ogólnie jest przez chorych lubiany. Mieszanka białka z cukrem, przygotowana w ten sposób, że białko jajka rozbija się w szklance wody z dwoma do czterech łyżeczkami cukru a potem się przecedza, daje napój chłodzący i pożywny.

Co do napojów wysokowych, które bywają zalecane chorym gorączkującym, to zawsze o ich użyciu powinien decydować ordynujący lekarz. Musi się on stosować do wysokości gorączki, do tego czy pacjent w zdrowiu używał alkoholu lub nie, a przede wszystkim uwzględnić, jak działa serce. Jeżeli w skutek

gorączki, nad miarę szybko pracujące serce grozi ustaniem i jest obawa, że cały obieg krwi może być zahamowany, wtedy kieliszek szampańskiego, koniaku lub portwineu podziałać może, jako bardzo skuteczne lekarstwo.

Pożywienie powinniśmy dawać choremu gorączkującemu w małych dawkach co dwie godziny, to jest od pięciu do sześciu razy dziennie — przy wielkim osłabieniu i w nocy. Nawet chorym bezprzytomnym powinniśmy wlewać w usta co kwadrans trochę płynnego pokarmu. Stałych pokarmów nie daje się zupełnie w chorobach gorączkowych, ostrych. Rzecz jednak ma się inaczej w chorobach chronicznych, w których pomimo gorączki narządy trawienia jeszcze nieźle działają i z tego powodu odżywianie może być z większą przeprowadzone energią. Tutaj miejsce pokarmu płynnego zastąpi już żywienie na pół płynne, któreby obok wystarczającej ilości białka zawierało w sobie substancje klejowate, węglowodany i tłuszcze, a to w celu wynagrodzenia strat poniesionych przez szybszą przeróbkę materii, w czasie dłuższej choroby. Najobfitszy zaś posiłek chory powinien otrzymać w tej porze dnia, kiedy gorączka ustępuje, t. j. zwykle rano. Tutaj menu składać się będzie z mocnego rosółu, żuru, na mleku gotowanej gęsto kaszy, skrobanego surowego mięsa i mózdzku cielęcego. Stopniowo, w miarę o ile trawienie się poprawia, można przejść do potraw mięsnych stałych, jak pieczone kurczę, wołowa polędwica, surowa szynka, do tego tarte kartofle, kaszka i lekko strawne jarzyny, jak: szpinak, kalafior, czubki szparagów, wszystko to jednak drobno posiekane.

Jeżeli u chorych gorączkujących głównym celem odżywiania jest utrzymanie ustrojowi sił potrzebnych do walki z chorobą, to w pewnych znów chorobach ma za zadanie uwzględnić troskliwie wszelkie nieprawidłowości w przemianie materii, aby wedle tego uregulować wybór substancji odżywczych co do ich jakości, i co do ilości. W niektórych stanach ustroju, przy pewnych zmianach krwi i soków następuje wzmożony rozpad tkanek, podwyższone spalanie, niezwykle prędką przemiana materii i tu koniecznym jest przez obfitszy dowóz pożywienia i to o wysokiej wartości cieplikowej, wpłynąć na to, żeby choremu przybywało ciała. Takie przekarmianie (Mast-cur) bywa teraz zalecane w suchotach płucnych i w niektórych chorobach nerwów; stosujemy je zaś jednocześnie z innymi zabiegami leczniczymi, jak ciągle przebywanie na świeżem powietrzu, i to bez ruchu, w pozycji leżącej, albo też przy użyciu różnych zabiegów hydropatycznych lub też masażu.

Przekarmianie urcha się w ten sposób, że ilość pożywienia, jakiego ustrój potrzebuje, powiększamy nieraz więcej, niż w dwójnasób. Pożywienie jest bogatsze w białko i węglowodany, ale przede wszystkim obfituje w tłuszcze. W ten sposób dochodzi się do takich rezultatów, że wyniszczony nieraz chory w krótkim czasie przybywa na wadze — badając zaś go, przekonywamy się, że nie tylko przybyło mu tłuszczu, ale też i białka. Ilość pożywienia przy takiej kuracji stopniowo się zwiększa, dziennie podaje się choremu od 6 do 8 posiłków, przy których mleko, masło i cukier wa-

zną grają rolę. Żołądek i kiszkę dobrze muszą się napracować, aby dać radę tak obfitym poczęstunkom, ale wreszcie jakoś to idzie i takie kuracze nieraz bardzo pomyślnym bywają uwieńczone skutkiem.

W innych stanach chorobowych, jak np. przy otyłości, przeróbka materii w ustroju odbywa się za opieszale, — i czy to w skutek zbyt obfitego pożywienia, czy też w skutek wadliwego spalania się w tkankach, nagromadza się w ciele nadmierna ilość tłuszczu. Aby uwolnić chorego od tego uciążliwego balastu, trzeba go skazać na częściowe jakby głodzenie, t. j. na dawanie mu mniej jedzenia, niż go zwykle spożywał. Jeżeli, jak już wyżej wspominaliśmy, człowiek dorosły o wadze 70 klg. potrzebuje dziennie pożywienia o wartości 2,800 kalorii, czyli na każdy kilogram swej wagi 40 kalorii, to nie możemy żywić w tym stosunku pacjenta otyłego, który waży 90 klg. Musi mu wystarczyć dziennie pożywienie o wartości 2,500 kalorii. Wybierzemy mu jednak takie pokarmy, żeby białko zostało w jego ciele zachowane, a tylko tłuszcz zginął. Jadłospis otyłych powinien więc zawierać w sobie dostateczną ilość mięsa i jaj, jako zawierających białko, ale bardzo mało węglowodanów (leguminy, słodycze, kartofle), co zaś do tłuszczów, to nie powinny się one wcale na ich stole pokazywać. Przytem w zupełnem przeciwieństwie do przekarmiania należy używać tu dużo ruchu, aby podnieść działalność mięśni, zmniejszyć ilość godzin snu, dla przyspieszenia przeróbki materii.

Tak znów np. przy chorobie cukrowej, kiedy wskutek nieprawidłowej przeróbki materii ustrój stracił zupełnie zdolność spalania cukru, należy wykreślić o ile możności z diety chorego wszelkie węglowodany, jak pokarmy mączne — kaszę — ryż — kartofle — groch — wszelkie słodkie owoce; nie strawi on ich bowiem należycie. Ażeby nie pozbawiać takich chorych chleba — piecze się dla nich specjalny chleb, zawierający w sobie mało krochmalu, a przedewszystkiem białko roślinne.

Przykładów takich możnaby wyliczać do nieskończoności, ale już z tego, cośmy powiedzieli, widać chyba, jak ważną rolę odgrywa w każdej chorobie odpowiednie odżywianie chorego. To też lekarz powinien jak najtroskliwiej układać całodzienne jego menu, przy czem uwzględnić trzeba ogólny stan ustroju, zmiany w głównych narządach, upodobania i nawyki chorego.

Dr. K.



Z listów do „Bluszczu.”



Londyn, w ostatnich dniach czerwca.

Dawni królowie, królowie przed wiekami, nie posiadali tylu środków, jak obecni, ku pozyskaniu popularności w narodzie. Dzisiaj — i kunszt drukarski, i znakomite aparaty fotograficzne i pomysłowość przemysłowców, wszystko wysiła się, aby i najbardziej zapadłe zakątki kraju zalewać powodzią wizerun-

ków monarchy. Każdy wie, jak on wygląda, jak się nosi, jakie ma upodobania, gdy tymczasem dawniej, tysiące ludzi nie wiedziały nawet, czy jest duży lub mały, prosty albo krzywy, — popularność zdobywał monarcha czynem szlachetnym, męstwem, dowodami rozumu lub dobroci. Było to o wiele mniej dla królów dogodne.

Król Edward korzysta z przywilejów dzisiejszego wieku. Znają go w narodzie wielcy i mali, bo i jakżeby go znać nie mieli? Podobiznę króla spotykamy wszędzie. Na pudełkach z cygarami, z zapalkami, na reklamach najrozmaitszych towarów, na jadłospisach w restauracjach, w oknie wystawowym prawie każdego magazynu czy sklepu, słowem, gdzie jeno spojrzysz, uśmiecha się do ciebie pełna, dobrotliwa twarz króla Edwarda, spoglądającego z zadowoleniem na czynione do koronacji przygotowania, które w ostatniej chwili przez fatalny traf przerwane zostały.

Przygotowania pochłonęły bajeczne, powiem, śmieszne w swej wysokości sumy, i z powodu niespodziewanej choroby króla, która przy najszcześniejszym zwrocie, potrwa tygodni kilka, naraziły wielu na olbrzymie straty.

Jeszcze przed 20-ym b. m. Londyn wyglądał, jak ogromny skład desek i palów, a przynajmniej połowa miasta zamienioną była w wielki warsztat ciesielski. Chyba jeszcze nigdzie na świecie nie wystawiono tylu trybun. W parku Saint-James, na placu Waterloo, przed Świętym Pawłem, przed Westminsterem, wszędzie, gdzie tylko znajduje się swobodne miejsce, wznoszą się szpetne, olbrzymie, drewniane budowle. Jedne kryte dachem, drugie bez dachu, te rozłożyste szeroko, zajmujące przestrzeń znaczną, inne wysoko, niby wieże, strzelające w górę. Architekci tutejsi nie wymyślili wprawdzie niczego nowego, ku przystrojeniu i ozdobie miasta, lecz za to wysilają swoją pomysłowość, aby ubrać fronty domów w drewniane galerie, estrady, improwizowane balkony, lub jak ptasie gniazda, niesymetrycznie, gdzie się tylko da, poprzymocowane loggie. Mało tego, w wielu miejscach trybuny powyrastały nawet na wysokich dachach.

Plac przed opactwem Westminsterskiem jest bez zaprzeczenia, jednym z najpiękniejszych, najwspanialszych placów, jakie egzystują gdziekolwiek i aż ciasno uczyniło się na tej olbrzymiej przestrzeni od całego miasta wzniesionych tu trybun. Znaczna ich część dosięga wysokości, przyprawiającej patrzącego o zawrót głowy. Cały legion cieśli pracował nad zbijaniem długich, draperyami obwieszonych i baldachinami osłoniętych ganków, które król i królowa, a za nimi orszak cały przejść mieli do świątyni.

Ruch na placu panował nie do opisania, przy ciasnocie i zgiełku zdawało się, że wielkie, ciężkie omnibusy zmiażdżą przemykające się obok nich leciuchne cab'y i podziwiać było trzeba pewność, z jaką każdy szedł swoją drogą, — spokój każdej jednostki w ogólnym zamęcie, porządek w pozornym nieładzie i zgiełku.

Stawiając taką moc trybun, nie pomyślano zapewne, że im zagrozi katastrofa, ka-

tastrofa bankructwa. Chociażby król szczęśliwie wyzdrowiał, jest ona nieunikniona. Przedsiębiorcy, oprócz poniesionych, znacznych kosztów wystawienia, złożyć musieli potężną opłatę za prawo budowania. Rachowano na pobranie bajecznej opłaty za miejsca i przerachowano się.

Wiadomo, że w Londynie pieniędzy jest, jak siana, być może więcej, niż siana — a mimo to trudno było oprzeć się powątpiewaniu, czy istotnie znajdują się dziesiątki tysięcy ludzi, którzyby zapłacili takie zdumiewające sumy za parogodzinne wyczekiwanie i ujżenie następnie zdaleka króla Edwarda, przejeżdżającego w purpurowym płaszczu. Na placu Waterloo ceny nieco skromniejsze, ale na placu przed opactwem poprostu — niezdrawe.

Dziwić się można, iż Anglicy, którym nawet najzaciętszy przeciwnik odmówić nie zdoła rozumu i jasności pojęć, z takim przejęciem — zajmują się maskaradą, bardziej odpowiednią w zaśnieżonym zamku magnata, aniżeli na ulicach trzeźwego, przejętego *business'em* Londynu.

Gazety angielskie nie mogły dość nacieszyć się opisywaniem najdrobniejszych szczegółów od tylu tygodni przygotowywanej uroczystości. O berle, płaszczu, koronie, znajdowały się w każdym piśmie artykuły bez końca; wszystkie przedmioty, które mają być przy tej uroczystości użyte, posiadają swoją historię, swą historyczną przeszłość. Złota korona, wysadzana brylantami, rubinami i szafirami, ma być wierną kopią korony Alfreda Wielkiego, którą w r. 1649 zniszczyli republikanie. Kopia ta po raz pierwszy włożoną była na głowę Karola II-go. W muzeum Kensington znajdują się liczne reprodukcje korony, obok niemiejszej liczby akwarel, przedstawiających różne chwile koronacji Jerzego IV-go, która miała miejsce w opactwie Westminsterem w roku 1821-ym. Ponieważ stroje królewskiej pary i orszaku, oraz regulamin uroczystej ceremonii wiernie z tradycją zachowane być mają, można więc, obejrzawszy owe reprodukcje korony i akwarele w muzeum Kensingtonskim, wyobrazić sobie doskonale obchód przygotowywanej z taką świetnością koronacji. Należy tylko wyobrazić sobie jednocześnie w koronie Alfreda Wielkiego głowę Edwarda VII-go. Może to nie łatwo, ale tylko o to chodzi.

W dalekiej, zachodniej stronie Londynu, w Carls Court, znajdują się tak zwane „Exhibition Grounds.” Są to rozmaite wystawowe halle z restauracjami, sale koncertowe, budy z najróżnorodniejszymi widowiskami, „ulice Kairu,” i t. p. niespodzianki, zajmujące olbrzymio rozległą przestrzeń. W okół dużego jeziora, otoczonego maurytańskimi pałacami, rześcicie wieczorem oświetlonemi, biegnie kolej elektryczna, przy której lokomotywa wyobraża potworną głowę smoka. W wystawowych halach rozgłoszyła się w obecnej chwili dość mizerna francuzka wystawa sztuk i przemysłu, resztki wielkiej wystawy paryskiej.

Podczas dnia, na „Exhibition Grounds” pusto, wieczorem, zwłaszcza wieczorem w sobotę, tłumy. Liczne rodziny mieszczan przesuwają się wesołe, rozbawione, powróceni

z Afryki, albo tacy, którzy jej wcale nie oglądali ochotnicy, w mundurach „Khaki“, spacerują z młodemi dziewczętami, po większej części ustrojonymi w duże, zawsze tutaj modne kapelusze Gainsborough, zdobne czarnymi piórami. Na placykach przed kawiarniami i restauracjami rozsiedli się szczęśliwcy, którym powiodło się zdobyć ławkę lub krzesło. Orkiestra wygrywa nieustrudzenie walce Straussa, nieodzowny na wszelkich popularnych popisach marsz „Washington-post“ i — rzecz naturalna — kończy program koncertu hymnem „God save the King!“

Wytworny świat Londynu spieszy późnym wieczorem, często już po teatrze, do „pavillion“, eleganckiej, wielkiej sali koncertowej, urządzonej w cyrku na Picadilly.

Widząc ten nieprzerwany sznur cab'ów i różnych wykwintnych ekwipaży, zapelniających znaczną długość ulicy, po obu jej stronach, spojrzawszy na balowo przybrany tłum w ogromnej sali, na dekolutowane stroje dam, błyszczące od klejnotów kosztownych, na uśmiechnięte twarze i kokieteryjnie upozowane piękności, nie jeden gotów pomyśleć, że tu jeszcze weselej, niż w Paryżu, że tu jeszcze więcej życia i zbytku. Po bliższej atoli obserwacji dostrzega się okiem krytyka, że całemu temu zgiełkliwemu tłumowi daleko jeszcze do swobodnej wesołości paryżan, a zbytkowi temu — do paryskiego smaku i wdzięku. W Paryżu spotyka się ekscentrycznie ubrane kobiety, lecz nie spotyka się strasydeł, a jakże często ekscentrycznie ubierająca się Angielka jest do stracha na wróble podobna!..

Czego jednak przedewszystkiem takim wieczornym obrazom w Londynie brakuje, to — oświetlenia. Londyn posiada najwspanialszą lokomocyę na świecie, nową, przed rokiem utworzoną kolej podziemną, prowadzącą z każdego punktu miasta do City. Nie można wymarzyć sobie niczego dogodniejszego nad te duże, salonowe wagony (zbudowane w Ameryce), kursujące z szybkością i dokładnością wprost idealną. Paryżki „Metropolitain“ jest dziecinną zabawką w porównaniu z koleją podziemną w Londynie. Ale za to oświetlenie wielkiej stolicy Anglii jest co się zowie nędzne. Paryż na tem porównaniu zyskuje nazwę morza światła.

Teatry wszystkie zapelnione po brzegi. Goście, którzy nadaremnie zjechali na koronację, jeszcze się nie porozjeżdżali, jest więc komu płacić bajeczne sumy za miejsca w Operze i w innych pierwszorzędných teatrach. W Operze ceny zostały wprawdzie zredukowane do zwykłych, albowiem galowe przedstawienia niewiadomo kiedy się odbędą, w każdym jednak razie, z powodu napływu przyjezdnych, dokupić się o lepsze miejsce bardzo trudno. Cen, jakie tutaj płać, pewnie w żadnym mieście na kontynencie, żaden teatr nie śmiałby naznaczyć. Dość powiedzieć, że loże na przedstawienia galowe kosztować mają (czy miały?) po sto gwinei, — co się równa tysiącowi rubli.

W teatrze „Gaiety“ — niesłychanem powodzeniem cieszy się operetka „The Toreador.“ Nie posiada ona ani muzykalnej, ani literackiej wartości, lecz tyle scen epizodycznych i quasi-zabawnych, wplecionych jest w mi-

zerną akcyę, że publiczność śmieje się do rozpuku. Na scenie przesuwają się najrozmaitsze parodye i aluzye i to jest siłą przyciągającą sztuki. Zjawiają się np.: tegi, brodaty wojak boerski i cienki Anglik, cały żółty, ubrany w mundur „Khaki.“ Łamią o kolana drewniane miecze i podają sobie wzajem wieńce warzyny.

Przy frenetycznych oklaskach publiczności „Kakhiman“ wręcza Boerowi na pamiątkę miniaturowy „blockhaus.“

Dziwnym bywa czasem humor Anglików.

List mój kończę w Niedzielę. Londyn w dzień niedzielny to inne miasto. Wszelki „business“ ustaje, gorączkowy handlowy ruch na ten dzień przerwany, Niedziela — to święto. Nawet poczta jest nieczynną i restauracye tylko w pewnych godzinach otwarte.

Hydepark zwykle w Niedzielę bywa przełudniony, dziś atoli mniej tam było tłumno. Miasto wypowiedziało parkowi konkurencyę.

U wejścia do parku, przy „Marble Arch“ (łuk marmurowy) niedzielni kaznodzieje zgromadzili w około siebie gromadki słuchaczy. Każdy z kaznodziejów prawi z przejęciem i broni obranej przez siebie tezy — a ludzie słuchają z różnemi objawami zajęcia, nierzadko głośnym wykrzyknikiem przerywając mówcy. Inszy zaś, jakiś człowiek w obdartem odzieniu, w podziurawionym kapeluszu, z nosem czerwonym, zdradzającym upodobanie do alkoholu, przechodzi od gromady do gromady, patrzy, słucha i pogardliwie wzrusza ramionami.

Nie opodal starzec z siwą brodą, w odwiecznym cylindrze na długich, gładko zaczesanych włosach, ustawia zielono pomalowane „podium“, które sam przydźwigał. Poczyna mówić o koronacji, o tradycji, zwyczajach, potępia zbytek i rozwielnioną pyszność ludzką, ale czyni to w łagodnych, pełnych miłości słowach. Cytuje ustępy z Biblii i tłumaczy słowa psalmów, — a zebrana w około niego gromada i jego słucha w skupieniu. Tylko człowiek w obdartem odzieniu i w podziurawionym kapeluszu przystaje i tutaj i pogardliwie wzrusza ramionami.

Zakątek ten w Hydeparku, gdzie ludzie, poświęcający się naukom teologicznym pod osłoną drzew zielonych rozprawiają o koronacji, o różnych ważnych duchownych sprawach, zakątek ten ma niewysłowny urok. Mimowoli myśl zwraca się ku owym czasom, kiedy pierwsi kaznodzieje tak przemawiali do tłumów, albo ku starożytności, ku Atenom, gdzie filozofowie, gromadząc około siebie uczniów, nauczali pod gołym niebem. Powiew poezji i klasycyzmu przedostaje się do tego zakątka i odsuwa go daleko od przeludnionego, dusznego miasta.

A człowiek w obdartem odzieniu i w podziurawionym kapeluszu, niby Diogenes jaki, kroczy od grupy teoretyków, do grupy teozofów, przysłuchuje się i na wszystko pogardliwie wzrusza ramionami.

Zetes.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

52

Kazimierz Gliński: „Pan Filip z Konopi“, powieść historyczna. Warszawa, 1902, nakładem Gebethnera i Wolffa. — Jan Lemański: „Bajki.“ Warszawa, 1902, nakładem Jana Fiszer. — Estewa: „Romans ucieczki kobiety“, powieść. Warszawa, 1902, skład główny w księgarni Jana Fiszer.

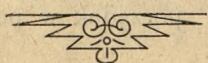
Do nielicznego grona powieściopisarzy historycznych z Sienkiewiczem na czele, przyłączył się obecnie i K. Gliński, znany poeta i dramaturg, autor wielu powieści współczesnych; od lat paru bowiem przerzucił się on na to wdzięczniejsze może, lecz i trudniejsze zarazem, pole twórczości literackiej: zaczął pisać powieści historyczne. Pierwszą, zdaje się, pracą jego w tym zakresie była bardzo dobra powieść „Cecora“, wydana przez „Bibliotekę dzieł wyborowych“, a w ślad za nią pospieszył „Pan Filip z Konopi.“

Piękny, bogaty i nad wyraz wdzięczny temat obrał sobie Gliński; sympatyczną niezmiernie postać rycerza z czasów dawno minionych odtworzył nam w swoim utworze... Jego „Pan Filip z Konopi“ jest typem doskonale zarysowanym, a malował go autor trochę na obraz i podobieństwo Kmicica, niemniej oryginalnie i z niemalym talentem. Oto w głównych zarysach treść utworu:

Po długich wojnach wraca znamienity rycerz-bohater Glińskiego — do swej sadyby nad Dniestr siny, w step szeroki, a wraca ubogi, bo choć łupów miał niemało, to jednak wszystkie biedniejszym od siebie rozdał po drodze. Na swym dzielnym bachmacie z wiernym Iwaśkiem, sługą - druhem, powraca wesół i szczęśliwy, aż tu nagle spotyka na szlaku, po którym dąży, rozhukaną czwórkę, unoszącą Imćpana podkomorzego Bylinę, wraz z cudną córką panną Tecką, na śmierć niechybną w jary i wadyły.

Obmyśla tedy sposób ratunku i wprowadza go w wykonanie, czem zdobywa sobie dozoną wdzięczność pana podkomorzego i jego córki, która odrazu — dodajmy — wywarła na panu Filipie wielkie wrażenie. Pan Filip z Konopi rozmiłowuje się w „Tećce“ na zabój i po długich ceregielach ze strony rodzica, otrzymuje przyrzeczenie, że skoro tylko starostwo od króla w nagrodę zasług wojennych otrzyma — Tećka będzie jego. Jadą tedy pan podkomorzy z panem Filipem do Warszawy królowi do nóg paść, aliści, gdy starostwo Filip otrzymuje, pomimo świadomości, że cała przyszłość, całe szczęście jego żywota od tego zawisło, zrzeka się zaszczytnego urzędu na korzyść serdecznego druha. I oto zaraz spotyka go nagroda, gdyż król, szlachetnością rycerza wzruszony, mianuje go kasztelanem. Po srogich terminach, jakie jeszcze przejść musiał, wraca Filip do swej ukochanej, wraca i — w przeddzień ślubu dowiaduje się, że jego Tećka kocha innego — ubogiego rymopisa Jaska Cichockiego.

I oto pan Filip z Konopi zdobywa się na coś niezwykłego: odstępuje swą narzeczoną Jaskowi, a sam — odjeżdża, choć wie, że mu słońce zagasło na wieki, odjeżdża do swej ustroni, gdzie nań czeka dom samotny, pu-
sty...



Ale jeszcze nie upada na duchu; szczęścia już nie zazna odtąd na ziemi, ale w pracy dla dobra kraju znaleźć może spokój i zadowolenie. Obrany posłem, głosi więc za oswobodzeniem włościan od pańszczyzny, co u siebie na wsi w czyn wprowadza. I tu jednak spotyka go zawód: szlachta na pierwszą wieść o tem, co chce przeprowadzić, oburzona opuszcza z hałasem salę posiedzeń... Złamany na duchu, powraca pan Filip do domu i tam na rękach wiernego Iwaśka ostatnie wydaje tchnienie...

„Pan Filip z Konopi“ dzielnie udał się Głińskiemu: jako utwór literacki, posiada ta powieść wszystkie dodatnie cechy, a więc dobrą charakterystykę postaci w powieści występujących, doskonale podmalowane tło epoki, w czasie której rozgrywa się akcja, dużo prawdziwie polskiego sentymentu i — w scenach oddzielnych — szczerego humoru. Jako typ — pan Filip z Konopi — jest przeprowadzony konsekwentnie, dobrze pojęty przez autora, zarówno w scenach lirycznych powieści, jak i tam, gdzie odwagę i zawadyacką nieco naturę szlachcica-idealisty uwydatnić należało; mniej udatną i słabo zarysowaną jest za to Tecka, która na czytelniku nie czyni sympatycznego wrażenia. Pan podkomorzy Bylina, oraz wierny sługa Iwaśko, jak również stara krewna Filipa i jego długoletni rządcą, są za to namalowani z siłą charakterystyki.

Opowiadanie toczy się żwawo po przez tłum zwarty najróżnorodniejszych postaci, nie grzeszy zbytnią rozwlekłością, zajmuje, a w końcowych rozdziałach powieści nawet wzrusza prawdziwą, szczerą poezią, jaką tchną sceny pożegnania Filipa z Tecką i śmierci rycerza. Głiński wyrzeźbił te ostatnie sceny: tyle w nich wdzięku i uczucia, styl jasny, zwiezły, słowem dużo kunsztu niepośledniego.

„Filipa z Konopi“ odkładamy na bok, z chmurą na czole zamyślonem: postać jego, ożywiona mocą talentu poety, staje przed nami i smutne budzi refleksye... Ale ponury nastrój ostatnich obrazów rozjaśnia samo zakończenie: idea „pana Filipa z Konopi“ zwyciężyła...

Powieść Głińskiego winna się rozpowszechnić szybko i szeroko: zasługuje na to w zupełności.

Równocześnie prawie z powieścią Głińskiego ukazał się na półkach księgarskich mały, ładnie wydany tomik, zatytułowany „Romans uczciwej kobiety.“ Autorką tej książeczki o dość sensacyjnym tytule jest Estewa (pseudonim), ale i bez tego po sposobie pisania możnaby się było domyślić pióra kobiecego.

Trochę to za rozwlekle, trochę za mało oryginalne w pomyśle i pospolite w obrobieniu, ale pisane dość żywo i zajmująco. Nie można p. Estewie odmówić pewnych zdolności pisarskich, choć przyznać trzeba, że są one jeszcze w zawiązku.

Bolesław Wirski, modny autor powieści rozchwytywanych przez kobiety szczególnie, poznaje u znajomych panią Helenę Nyszczewską, której rozum i piękność czynią na nim wrażenie bardzo dodatnie; pani Helena jest w całym znaczeniu tego słowa uczciwą, pomimo, że ma podstarzałego i antypatycznego, choć bardzo bogatego męża... Pan Bolesław Wirski, który lekko traktuje kobiety, i — mi-

mo to, a może właśnie dlatego — szalonym cieszy się u nich powodzeniem, postanawia rozkochać w sobie „uczciwą kobietę“ i nawet zakłada się z przyjaciółmi, iż w ciągu paru miesięcy pani Helena zostanie jego kochanką.

Zamiar ten po wielu trudnościach doprowadza do skutku... Helena zapomina o całym świecie, o mężu, o dziecku — dla niego, dla tego, którego kocha nad życie i który — wierzy w to silnie — i ją kocha również.

Ale tego samego dnia, w którym, nie myśląc się dłużej, wpadła w ramiona Wirskiego, dowiaduje się — o zakładzie. Cios ten zabija ją; pani Helena, nie mogąc znieść już mąk, jakie przechodzi na samą myśl o swoim upadku, o miłości dla człowieka niegodnego, truje się i umiera z szeptem na ustach: „Więc to był tylko zakład!“

Powieść Estewy grzeszy brakiem pogłębienia psychologicznego, językiem niewybrednym i czasem pokłóconym trochę nawet... z gramatyką! zdolności pisarskich jednak — powtórmy raz jeszcze — odmówić jej niepodobna.

W „Romansie uczciwej kobiety“ są sceny, pisane żywo, zajmująco; drugorzędne sylwetki osób występujących w powieści, zarysują się dość plastycznie, jak np. postać Stanisława Kalinieckiego, co — razem wzięte — naprowadza nas na myśl, że Estewa z czasem lepsze da nam rzeczy, bardziej pogłębione, bardziej *tworzone*, nie zaś *pisane*.

Od twórców powieściowych przejdźmy teraz do wierszowanych „Bajek“ Jana Lemańskiego. Młody ten pisarz zebrał w jednym tomie rzeczy, drukowane poprzednio w „Głosie“ i w „Chimerze“ — i wydał je nakładem Jana Fiszerę. Nie brak tu utworów aktualnych, nie brak i innych, o tematach głębszych i ogólniejszych (jak np. „Ruch etyczny“).

Pan Lemański, jako poeta-liryk, nie wyróżnia się niczem: brak mu sentymentu, brak szczeroci, a co za tem idzie naturalności wyrazu, formę ma dziwną, sztuczną; jako satyryk za to, jako bajkopisarz, jest często doskonały.

Forma „Bajek“ niekiedy bardzo wytworna, kunsztowna; czasem jednak pozwala sobie autor na wybryki, w postaci takich rymów, jak: pragnę — bagnem, niosą — niebiosom.

Jedną z najbardziej wyróżniających się treścią i formą bajek jest w tomie Lemańskiego: „Lilia wodna.“

Autor opowiada nam wierszem łatwym i płynnym dzieje „lili wodnej“, co „rosła w stawie, wśród zielonych wód obszarów.“ Dobrze jej tam było, ale pobyt w ile wodnym, w sąsiedztwie ryb i kwiatów, sprzykrzył się jej w końcu, i oto zaczęła biadać: „Czemu, czemu mnie z tem bagnem nieychliwa dola splata? Ach! dlaczego nie skrzydlata?“ Przyjaciół usługnych nie brakuje nawet liliom: więc i tu znalazł się pływak, który pospiesznie zajął się sprowadzeniem raka, ten zaś: „kleszczami, niby piłą, przeciął lili pień rodzimy.“ Lilia popłynęła: „coraz dalej rwie ją fala, burt ją czasem trąci łodzi, nie raz wiosło ją ugodzi, biały liść jej łamie, kała...“ Ale oto cóż się stało: „ni spoczynku, ni przystani nie mający kwiat tułaczy, rychło, rychło zwiądl z rozpacz.“

W bajce tej Lemański dobrze zarysował i lilię wodną, nieświadomą i naiwną, i raka —

usługnego, dobrego przyjaciela. Takich lili i takich raków nie brakuje nigdzie; o wiele więcej, niż w świecie przyrody, mamy ich w życiu, a znajdują się oni napewno i — w literaturze.

Pięknie wydane „Bajki“ Lemańskiego zalecają się i zewnętrznym swoim wyglądem i życzymy im z serca powodzenia.

Tadeusz Kończyc.



Kronika działalności kobiecej.



— Na ostatnim posiedzeniu Kassy pomocy dla kobiet pracujących, przyznano trzem uczestniczkom pożyczki, w ogólnej sumie rubli 425. Otrzymano pozwolenie na urządzenie zabawy w połączeniu z koncertem Filharmonii w Dolinie Szwajcarskiej w dniu 15-ym lipca r. b. Ceny biletów dla publiczności kop. 45, dla uczestniczek Kassy kop. 35, a dla uczącej się młodzieży kop. 25.

— W dniu 25-ym z. m. delegacja pracy kobiet zebrała się na liczniejsze posiedzenie w celu omówienia sprawy założenia Towarzystwa wzajemnej pomocy kobiet, pracujących zawodowo. Będzie to trzecie tego rodzaju Towarzystwo, mające na względzie poprawę bytu kobiet.

Zebranie odbyło się pod przewodnictwem p. Reinszmidt-Kuczalskiej i J. Bojanowskiej, i zajęło się omówieniem pojedynczych paragrafów projektowanej ustawy.

— W Weimarze zakładają specjalne, fachowe szkoły dla żon i córek mniejszych posiadaczy ziemskich. W szkołach owych kobiety przechodzą praktyczną naukę gospodarstwa rolnego i wiejskiego. Oprócz uprawy roli, zakładania sadów, chowu inwentarza i t. p., szkoły obejmują: mleczarstwo, hodowlę trzody i drobiu, ogrodnictwo, przyrządzanie zapasów spiżarnianych i pszczelnictwo.

Z. S.



OD ADMINISTRACYI.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał bieżący.

Zwracamy przytem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu“ (Ś-to-Krzyżka, 11).

Treść numeru:

Na werandzie (pogawędka), przez Kazimierza Głińskiego. — Przysiań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Jaśminy, Złotowłosa (wiersze), przez Zygmunta Różyckiego. — Towarzystwo ochrony kobiet, przez Wandę Grot-Bęczkowską (Korotyńska). — Sentymentalizm w wychowaniu, przez X. (ciąg dalszy). — Do zawiedzionych (wiersz), przez Mieczysława Olszowskiego. — O żywieniu chorych, przez dra K. — Z listów do „Bluszczu.“ Z Londynu, przez Zetesa. — Przegląd piśmienniczy, przez Tadeusza Kończycę. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz pierwszy „Wrażeń z podróży po wybrzeżu północnem Afryki“ d-ra W. Miklaszewskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 27). — Przepisy kuchenne.

Całun Jezusa Chrystusa

Studjum naukowe Pawła Vignon Doktora Nauk Przyrodniczych.

Jestto najwierniejszy i najobszerniejszy opis drogiej i Świętej pamiątki po Chrystusie, ozdobiony 19-ma ilustracjami, odbitymi na welinie, pomiędzy którymi znajduje się

NAJWIERNIEJSZA KOPIA WIZERUNKU JEZUSA CHRYSSTUSA.

Wydawnictwo to aprobowane przez Warszawski Rzymsko-Katolicki Konsystorz za № 2460.

CENA kop. 80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nadsyłający należność do Administracji tygodnika „Bluszcz” Ś-to Krzyżka 11, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Żądajcie w Składach Aptecznych i Aptekach

INSEKTIN

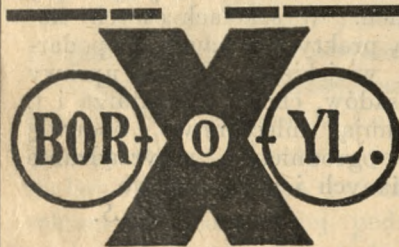
skutecznie tępi wszelkie robactwa.

REPREZENTANT I SKŁAD HURTOWY

ZYG. MAMŁOK

WARSZAWA, Złota № 36.
SOSNOWIEC, ul. Modrzejska.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

BORXYL

chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białą.

✱ Cena flakonu 60 k. ✱

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

F. ZAMENHOFA

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

ŚMIERĆ

MUCHOM

Marka



fabrycz.

Żądajcie „Grip” z globusem!

zatrzymuje każdą muchę przy najmniejszym dotknięciu.

! Strzedz się falsyfikatów !

Kto prawdziwy „Grip” nie sprobuję, bierze falsyfikat na którym sprzedający więcej zarabia przez co chętniej sprzedaje. Przedstawiciel na Rosję ZYG. MAMŁOK w Warszawie i Sosnowcu.

GRONKIEWICZ

Królewska 5.

Telefon 1758—w Warszawie.

Poleca osoby pracujące w dziale Nauki Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa i Różne, tylko z dobrymi poufnie sprawdzonymi referencjami.

W. Golińska

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii

BRONZY, ALBUMY,

NESESERY,

WACHLARZE, RĘKAWICZKI, RAMKI.

Rodzice, pragnący kształcić swe córki w Krakowie, znajdą dla nich wszelką wygodę, opiekę macierzyńską i na żądanie lekcje muzyki, u pani **M. Przybylskiej**, wdowy po lekarzu, a zamieszkałej tamże przy ul. **Retoryka** № 2. **Kraków.**

CIECHOCINEK

PENSYONAT „ZACHĘTA,

HELENY KUČZALSKIEJ

przyjmuje pod opiekę na czas kuracyjny dzieci i młodzież obu płci. Kuchnia zdrowa i obfita. Pianino, gimnastyka, masaż, gry rozmaite na miejscu. Szczegóły za nadesłaniem marki. — Warszawa, **Moniuszki** № 9, od 15 Maja — Ciechocinek.

Szkoła Kroju i Pracownia Sukien

„ROMANA”

Warszawa, Erywańska 14.

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie, (wydaje patenta cechowe). Wykonuje, suknie, szlafroki, bluzki, halki, matinki.

Egzystująca od 1882 roku

PRACOWNIA I MAGAZYN

Wyrobow Złotych, Srebrnych i Brylantowych

J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy Trębackiej № 9.

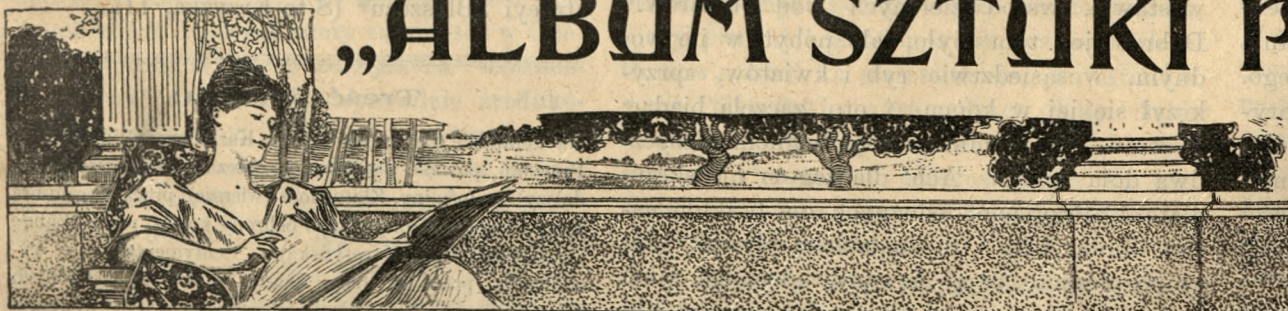
Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, koleczyki, bransolety, breloki, krzyżyki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stolowe i fantazyjne.

Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące.

Znaczny wybór rączek srebrnych do lasek.

CENY FABRYCZNE.

„ALBUM SZTUKI POLSKIEJ”



zaliczone przez ogół prasy polskiej do najwspanialszych i cennych wydawnictw ostatniej doby. Wydanie luksusowe w dużym formacie, na angielskim kredowym papierze, **ozdobione 250 rycinami** znakomitych malarzy, z tekstem artysty-malarza **H. Piątkowskiego**.

Cena rb. **12** w bogatej oprawie z brzegami złoceniem, z przesyłką pocztową rb. **13 k. 50.**



Nabyć można w każdej księgarni. Zamawiający u Wydawców w kantorze drukarni **PIOTRA LASKAUERA i S-ki** w Warszawie, Ś-to Krzyżka № 11, kosztów przesyłki i opakowania nie ponoszą.